

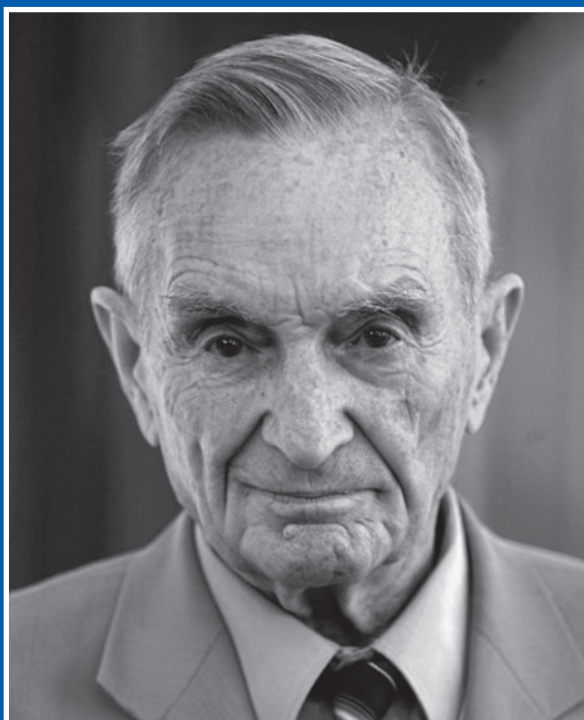
RES HUMANA

Humanizm
Racjonalizm
Kultura świecka

1 / 134

2015 r.

DWUMIESIĘCZNIK • ISSN 0867-847X Indeks 33426X • Numer 1 (134) 2015 Rok wyd. XXIII • Cena 7,00 zł (w tym 5% VAT)



**Profesor
Henryk SAMSONOWICZ**

**Wiemy coraz więcej, jak
i coraz więcej nie wiemy**

czytaj s. 7 i dalsze

FAKTY • WYDARZENIA • OPINIE

- O niegodnej insynuacji
- Po wyborach samorządowych
- O prawie do godnej pracy

ROZMOWA W „RES HUMANA”

Z prof. Henrykiem SAMSONOWICZEM
o trudnych lekcjach historii

JAK BRONIĆ ŚWIECKOŚCI PAŃSTWA?

Odpowiedzi na to pytanie poszukują:
wicemarszałkini Sejmu RP Wanda
NOWICKA oraz profesorowie Monika
PŁATEK, Magdalena ŚRODA i Mirosław
WYRZYKOWSKI

WYZWANIA WSPÓŁCZESNE I ODPOWIEDZI HUMANISTYCZNE

profesorów Ireny WOJNAR i Janusza
GAJDY

ŚWIADECTWA

o ważnych książkach i ich Autorach
napisali: Bohdan CHWEDEŃCZUK,
Stanisław FRAN CZAK, Małgorzata
B. JAKUBIAK, Władysław MARKIEWICZ
i Czesław MATUSEWICZ

FORUM FILOZOFICZNO-LITERACKIE

Maria SZYSZKOWSKA • Eugeniusz
KABATC • Wacław SADKOWSKI
oraz recenzje książek i czasopism, kronika,
Jubileusze

Spis treści

FAKTY • WYDARZENIA • OPINIE

Zdzisław SŁOWIK
Niegodna insynuacja i odpowiedź w poczuciu
godności/1
Janina ŁAGODA
Samorządowa operacja/3
Wacława MIELEWCZYK
Ku aktywnej polityce zatrudnienia/4

ROZMOWA W „RES HUMANA”

Wiemy coraz więcej, ale także coraz więcej
nie wiemy
Z profesorem Henrykiem
SAMSONOWICZEM rozmawia
Wiesław ŁUKA/7

JAK BRONIĆ ŚWIECKOŚCI PAŃSTWA?

Wicemarszałkini Wanda NOWICKA/12
Profesor Mirosław WYRZYKOWSKI/13
Profesor Monika PŁATEK/14
Profesor Magdalena ŚRODA/16 i 37

WYZWANIA WSPÓŁCZESNOŚCI I ODPOWIEDŹ HUMANISTYCZNA

Irena WOJNAR
Obszary humanistycznego zaniepokojenia/18
Janusz GAJDA
Człowiek współczesny wobec zderzenia
sprzecznych wartości/21

ŚWIADECTWA

Władysław MARKIEWICZ
Fizjonomia III RP/24
Bohdan CHWEDENČZUK
Z rogu obfitości/25

Czesław MATUREWICZ
Przekaz do wnuczków/27
Małgorzata B. JAKUBIAK
Wacław W. WOROWSKI: polski intelektualista
w służbie dwóch narodów/32
Wacław WOROWSKI
Czytelnik i pisarz/35
Stanisław FRAN CZAK
Julian Kawalec – kronikarz naszych
dziejów/36 i s. IV okładki

FORUM FILOZOFICZNO-LITERACKIE

Maria SZYSZKOWSKA
Poprawiać albo likwidować/38
Eugeniusz KABATC
Polski trójkąt Konwy-Konwickiego/39
Wacław SADKOWSKI
Czy Apollinaire był Polakiem?/41

WŚRÓD KSIĄŻEK

Wacława MIELEWCZYK
W kręgu godności/44
Radosław S. CZARNECKI
Iluzja niewidzialnej ręki rynku/46
Andrzej BIERNACKI
W złożonym tyglu polskiej historii/48

W CZASOPISMACH

Wybór i opracowanie
Ksawery S. PIWOCKI/49

KRONIKA

Kraków • Kielce • Poznań • Jubileusz Leonarda
Pełki/51 i s. III okładki

REDAKCJA: Mariusz AGNOSIEWICZ, Zdzisław CACKOWSKI, Marek JAWORSKI, Władysław LORANC, Jerzy ŁADYKA, Wacława MIELEWCZYK – sekretarz redakcji, Lech M. NIJAKOWSKI, Wacław SADKOWSKI – z-ca redaktora naczelnego, Zdzisław SŁOWIK – redaktor naczelny, Dionizy TANALSKI, Zbigniew WOJTKOWIAK, Daniel S. ZBYTEK.

ADRES REDAKCJI: 00-553 Warszawa, ul. Koszykowa 24, tel. 625-44-69; tel. 605-101-072.

E-mail: reshumana@tlen.pl

WYDAWCA: Rada Krajowa Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego.
www.kulturaswiecka.pl

Druk: Drukarnia ACAD w Józefowie.

FAKTY WYDARZENIA OPINIE



*Wszelkiej pomyślności, dobra i nadziei
w świecie wolnym od zła i nietolerancji życzy
na Nowy 2015 Rok wszystkim naszym
Czytelnikom i Przyjaciołom*

Redakcja RES HUMANA

ODESZLI SPOŚRÓD NAS

Tadeusz KONWICKI

wybitny pisarz, którego wielkie dzieło odzwierciedla złożony los najnowszej polskiej historii.



Dr Józef OLEKSY

znany polityk polskiej lewicy, mąż stanu, wspaniały Człowiek, zraniony ludzką nienawiścią.

Pozostaną na zawsze w naszej pamięci.

**TOWARZYSTWO KULTURY ŚWIECKIEJ
im. Tadeusza Kotarbińskiego
Redakcja „RES HUMANA”**

Niegodna insynuacja i odpowiedź w poczuciu godności

Kłamstwo i konflikt są od początku narodzin III RP drogowskazami jego kariery politycznej. Nie doświadczając życia osobistego, pozbawiony uczucia empatii, zimny i cynicznie wyrachowany, trwa niestrudzenie w służbie zła czynionego Polsce, polskiej demokracji, jej z trudem wywalczonym wartościom zwróconych ku dobru. Jego doświadczenie jest w tej mierze długie, toteż dobrze wie jak działać, aby pozostawać bezkarnym. Nie jest, niestety, w tej destrukcji sam, bo zdolny jest wydobywać ze złożonych pokładów społecznych zbiorowości to, co w nich najgorsze: zawiść, nieufność czy lęk, ale też poczucie zawodu z odzyskanej wolności. Wciela się w nie i staje wiarygodny dla tych, którzy w ulicznych pochodach wołają „Jarek, Jarek...”, nie zdając sobie sprawy, że są ofiarami manipulacji i kłamstwa. I wie też doskonale, bo poznał z bliska mechanizmy władzy, jak poruszać się po cienkiej linii publicznego działania wyznaczającej mu rolę niewinnej ofiary a nie jej sprawcy.

W tej masce wystąpił też 13 grudnia 2014 r. jako jedyny sprawiedliwy, który, choć pamięta stan wojenny jedynie z przekazu telewizyjnego w swoim domu, mógłby teraz, w kolejną rocznicę jego wprowadzenia, wspomnieć choćby chwilę o tamtych dniach jako dniach przestrogi.

Ale nie o to mu chodziło tego minionego grudnia, ani nie o „obronę demokracji i wolności mediów”, jak obłudnie wcześniej zapowiadał. Bo on pojawił się tam wciąż przeniknięty obsesją kłęski, choć przecież w wyborach samorządowych odniósł pewien, ilościowo biorąc, sukces, ale sukces, który uznał za porażkę za sprawą... „wyborczego fałszerstwa”, a nie za brak realnej zdolności koalicyjnej. To myślenie o „fałszerstwie” znalazło na chwilę zaskakujących sojuszników, z którymi wspólnie mógłby ów sukces ilościowy przekształcić w realną władzę i tylko władzę, o której marzenie nie odstępuje go ani na chwilę.

Przerzywał więc warszawski pochód w starannie wyreżyserowanych odstępach, aby we wszystkich przypadkach mówić o „fałszerstwie” i mówić o „sprawcach” jego dojmującego nieszczęścia. Na kolejnej stacji pochodu przypomniał sobie o spotkaniu prezydenta RP z prezesami polskich sądów, poświęconym wyłonieniu nowego składu Państwowej Komisji Wyborczej i o rozpatrywanych przez sądy „protestach wyborczych”, i aby ożywić zmęczonych już zgromadzonych tak swoje myśli przedstawił: „Fałszerstwem jest sytuacja – wołał – w której władza, gdy okazuje się, że wybory kończą się katastrofą, że ich wynik jest w gruncie rzeczy nieznanym, natychmiast rozpoczyna kampanię ukrywania tego faktu, wpływa na sądy, wręcz można powiedzieć terroryzuje je, i to z udziałem prezydenta RP, z udziałem prezesów sądów, tych najważniejszych w Polsce”.

To nie pierwsza, ale jak w soczewce ukazująca szczególnie dobitnie, kłamstwo każdego słowa tej nikczemnej insynuacji. Groźnej tym bardziej, że jej atakiem stała się teraz – po władzy ustawodawczej i wykonawczej – cała w istocie trzecia władza w państwie, że podważona została wiarygodność tej władzy, zakwestionowana godność polskich sędziów.

Wobec tego wyzwania nie pozostali obojętni prezesi Sądu Najwyższego Małgorzata GERSDORF, Naczelnego Sądu Administracyjnego Roman HAUSER oraz Trybunału Konstytucyjnego Andrzej RZEPLIŃSKI wydając wspólne oświadczenie:

„To bezprzykładny w Europie atak polityka pretendującego do sprawowania władzy wykonawczej w Polsce na władzę sądowniczą. To pełen pogardy atak wymierzony w każdego z tysięcy sędziów wszystkich sądów w Polsce. Wyrażamy głębokie oburzenie sformułowanymi pod naszym adresem zarzutami terroryzowania sędziów i do namawiania ich do określonego orzekania w sprawach rozpatrywanych protestów wyborczych. To znieważające zdanie nawiązuje do najgorszych lat walki politycznej przed 1989 rokiem”.

„To już nie jest krytykowanie konkretnego wyroku lub sędziego. To oskarżenie sądów, że chodzi o pasku władzy. Proszę konkretnie: gdzie to terroryzowanie? W którym sądzie – zapytał z kolei Waldemar ŻUREK, rzecznik Krajowej Rady Sądownictwa. Odbiera się wiarygodność sądom. I to mówi osoba, której brat, jako minister sprawiedliwości, opiniował nominacje, a potem – jako prezydent – powoływał sędziów. Kiedy się twierdzi, że sądy nie są niezależne w sprawach wyborczych, to znaczy, że nie są też niezależne w każdej innej sprawie. Doraźną walkę polityczną obracamy przeciw państwu, niszcząc jego filar – zaufanie do sądów”.

„Żarty się skończyły. Potrzebna jest reakcja. Społeczeństwo powinno zobaczyć, ku czemu to zmierza – powiedział prof. Andrzej ZOLL, były prezes Trybunału Konstytucyjnego i rzecznik praw obywatelskich. W czasie krótkiego, na szczęście, okresu IV RP słyszałem, jak pewien polityk związany z Jarosławem Kaczyńskim mówił, że PiS ma już w Trybunale Konstytucyjnym czterech sędziów i powalczy o to, aby mieć większość. To była wypowiedź, która miała odebrać Trybunałowi wiarygodność. Kiedy kwestionuje się fundamenty demokracji – a do tych należy niezależność sądów – to jest to groźne. Mamy do czynienia z osobą całkowicie nieodpowiedzialną i wyjątkowo niebezpieczną dla demokracji”.

Cóż dodać do przytoczonych tu słów, coż dodać do goryczy osób reprezentujących instytucje fundamentalne dla demokratycznego państwa prawa, coż dodać do słów: „Żarty się skończyły. Potrzebna jest reakcja”?

Niechaj będzie nimi wołanie w imię ocalenia demokratycznego państwa prawa o takie jego działania, aby osoba, która na kłamstwie, najgorszych ludzkich emocjach, na inicjowaniu i kierowaniu destrukcyjnym konfliktem, od lat wnoszonym w polskie życie, przestała być wreszcie bezkarną.

Zdzisław SŁOWIK

Samorządowa operacja

Doświadczenia płynące z wyborczej kampanii samorządowej są przygnębiające.

I nie chodzi bynajmniej o jej lekceważenie przez wyborców, bo wskaźnik udziału w niej wprawdzie nie szokuje (około 47%), ale nie wykazuje też tendencji deprecjacyjnych. Jest to w tym przypadku objaw raczej pozytywnego akceptowania demokracji, jak zauważył swego czasu niemiecki intelektualista Ernst Jünger (1895-1998). Nie ma więc powodów do zmartwień, ale i do pełnej satysfakcji również.

Tym razem cieniem nad wyborami położyła się ich organizacyjna kłeska. Liczenie głosów i późniejsze ich tabelaryczne przetwarzanie miało być majstersztykiem okazało się buble w wydaniu Państwowej Komisji Wyborczej (PKW). Organ to w każdym wyborach najważniejszy, ale i jemu przydarzają się słabe momenty, co tym razem w końcowym efekcie stało się pożywną karmą dla niektórych polityków skłaniających się do wygłaszania przeróżnych krytycznych sądów, łącznie z zarzutem wyborczego fałszerstwa. Miało być nowoczesnie, bo z zaprzęgnięciem perfekcyjnego elektronicznego osprzętu, a wyszło średniowiecze. Zacni skądinąd mężowie z PKW, których trudno posądzać o złą wolę, sami stali się ofiarą współczesności. Oprogramowanie nie tyle, że nie usprawniło sumowania wyborczych wyników, to przy okazji zmiołło personalną obsadę PKW, a intrygatorska myśl tego organu o zbroszowaniu kart do głosowania dopełniła reszty. Paradoks współczesności: jedni budują nowoczesne narzędzia, inni nie potrafią się nimi posługiwać. Nożyce te mają jednak pozytywną tendencję zwierania się.

Propagandowe rażenie objawionych ułomności okazało się przemożne, a pamiętać należy, iż każde, nawet mikroskopijne, potknięcie organizatorów w akcie wyborczym jest dla polityków wodą na młyn, zaś komplikacje jakie odnotowano podczas ostatnich głosowań samorządowych stanowiło paliwo wysokooktanowe. Do sądów wpłynęło blisko 1500 pozwów o nieprawidłowościach wyborczych. Milowa więc droga do ich ostatecznego wokandyowego rozpatrzenia, ale dla wielu polityków, zwłaszcza z najliczniejszej partii opozycyjnej, tj. Prawa i Sprawiedliwości (PiS) nie stanowi przeszkody, aby ubiegając Temidę, wydawać już wyroki o wyborczych fałszerstwach. Fascynujący to przypadek, bo właśnie ta partia odniosła procentowy sukces w wyborczych szrankach. Kwestionuje zatem swoje zwycięstwo, które wprawdzie przełożone na liczby bezwzględne, uzupełnione ograniczoną zdolnością koalicyjną tego ugrupowania, nie odsłania nadmiernych władczych perspektyw. I tutaj należy doszukiwać się ważkiej, ale nie jedynej kości niezgody. Trudno też w patriotycznych kategoriach tłumaczyć sprowokowanie przez tę partię zainteresowania się niedoskonałościami w lokalnych wyborach przez Parlament Europejski, który jednak w porę odstąpił od dalszego roztrząsania tego problemu, bo – jak się wydaje – sprawy Polski na przestrzeni dziejów, ale i współcześnie również są zazwyczaj wielce skompliko-

wane. Nie łudźmy się tym, bo nasze podwórko jest bacznie obserwowane przez innych, którzy w stosownych momentach nie oszczędzą nam rykoszetów. Tak daleko myśl naszych patriotów już nie wybiega. Liczy się doczesność i to wyrafinowanie spreparowana cyfrowymi słupkami wyborczego poparcia. Nie zamartwia ich nawet, jeśli nie rzeczywisty, to przynajmniej rankingowy status Rzeczypospolitej.

Objawem kumulującym powyborcze niezadowolenie i partyjnie pojętą troskę o przyszłość Najjaśniejszej stał się marsz grudniowy w obronie demokracji i wolności mediów z białymi i czerwonymi różami, a w dalszej projekcji był to początek wielkiego ruchu na rzecz kontroli wyborów, jak oznajmił prezes, za którego plecami stanął przez niego powołany komitet honorowy pochodu liczący blisko 130 osób, dawnych rewolucjonistów, a dzisiaj chyba frustratów albo nieobliczalnych wizjonerów, którzy nadal tkwią w amoku demolowania tego, o co walczyli i już osiągnęli. Znalazło się tam też niestety kilku biskupów, których z partyjnego potrzebunku w porę uwolnił nuncjusz apostolski. Na jak długo, nie wiadomo, bo co niektórym hierarchom płące się misja ewangelizacyjna z politykierstwem. Przesłanie marszu zostało także wzbogacone upamiętnieniem 33. rocznicy stanu wojennego i nawiązaniem do katastroficznego smoleńskiego upadku, bo jakże inaczej. Takiej kumulacji pretekstów w jednej odsłonie jeszcze nie było. Ważne, aby władza choć przez chwilę poczuła się nieswojo. I co zastanawia, gospodarzem tych społecznych incydentów stała się tylko jedna partia, która zabiegając o mocarstwo Najjaśniejszej wtlacza ją w izolacjonizm. W obecnych czasach to utopia.

Marsz ten z pasywnego oglądu sprawiał wrażenie połączenia antyrządowych hasel (nie ufamy prorządowym mediom, raz sierpem, raz młotem w czerwoną hołotę itp.) z pielgrzymkowymi standardami (różańce, religijne obrazki, teistyczne zawołania, portrety świętych etc.). Miał też wiele wspólnego z demonstracjami sprzed 1989 roku, kiedy to strajk był najważniejszy, a produkcja octu priorytetem. Trudno się oderwać od dawnych wzorców, które dzisiaj trącą anachronizmem. Organizatorzy nie tłumaczą tych zachowań, ale ekscytują się wodzirejskimi maksymami. Czemu to ma służyć? To już chyba tajemnica organizatorów. Szlifowanie warszawskiego bruku jest przecież ekstensywną formą rozwiązywania społecznych problemów, pomijając prezent uciążliwości dla warszawiaków.

Janina ŁAGODA

Ku aktywnej polityce zatrudnienia

W tej debacie* skupionej na działaniach władz państwowych i samorządowych zmierzających do zwiększenia aktywności zawodowej osób powyżej 50. roku życia oraz wydłużenia okresu ich pozostawania w stanie zatrudnienia, nie było wielkich słów o etosie pracy czy nadmiarze obietnic, a tym bardziej samozadowolenia ze stanu spraw w tej doniosłej sferze życia zbiorowego. Była natomiast ważna rozmowa specjalistów oparta na faktach, liczbach i powściągliwie sformułowanych konkluzjach.

Zanim o tych faktach, zwróconych ku przyszłości powiemy, nie sposób uciec od pytania o powody zainteresowania tą właśnie grupą osób, jeśli pamiętać jak wielu młodych ludzi, często z dyplomami wyższych uczelni, szuka pracy i nie może jej znaleźć czy jak wiele aktywnych zawodowo osób znalazło swoje miejsce w szarej strefie zatrudnienia, nie wolnej od patologii. Odpowiedź jaką na to pytanie słychać było w czasie tej debaty, wskazywała najpierw na zjawisko kurczenia się, a także starzenia potencjalnych zasobów

pracy, na widoczne wydłużanie trwania życia, przy równoczesnej poprawie stanu zdrowia starszego pokolenia. Wszelako wydaje się, że nie mniej istotnym, jeśli nie bezpośrednim powodem zainteresowania pracą osób „50+”, była trudna dla władz i społeczeństwa decyzja o ustawowym wydłużeniu lat pracy uprawniających do emerytury, podyktowana stanem budżetu państwa. Debata, o której tu mowa, była więc, wolno sądzić, próbą poszukiwania sposobów pozytywnego wsparcia tych wszystkich, którzy – z powodów obiektywnie uzasadnionych – będą nieco dłużej niż dotąd pracować przed przejściem w stan spoczynku.

Aby takie pozytywne wsparcie było skuteczne i w miarę sprawiedliwie podzielone trzeba było najpierw mozolnego trudu, aby dokonać diagnozy obecnej sytuacji osób powyżej 50. roku życia, zwłaszcza ich statusu zawodowego. W stosownym raporcie końcowym opracowanym przez zespół uczonych z Uniwersytetu Łódzkiego, od lat podejmujących wnikliwe analizy pracy człowieka i jego pozycji jako pracownika czy osób nie mających pracy, i przedstawionym uczestnikom wspomnianej debaty, znajdujemy przebogaty materiał empiryczny dotyczący tej problematyki. Odnotujmy niektóre dane z tego raportu.

Pierwszą i niejako wyjściową tezą jest konstatacja o oczywistych różnicach między najmłodszą (45-50 lat) a najstarszą generacją (60-65 lat) osób pracujących, przy czym nie chodzi tu o różnice wynikające z samego wieku, lecz różnice w poziomie sytuacji ekonomicznej, wykształcenia czy kompetencji tych generacji. Ale zarazem łączy te populacje zatrudnienie w małych i średnich jednostkach gospodarczych, przy czym połowa z nich to robotnicy wykwalifikowani, a kolejne 25 proc. to specjaliści. Blisko jedna czwarta kobiet i połowa mężczyzn pracuje poza miejscem zamieszkania. Wyniki diagnozy potwierdzają niską aktywność zawodową kobiet i mężczyzn między 45. a 69. rokiem życia: połowa kobiet i co trzeci mężczyzna pozostają bierni zawodowo, głównie w związku z pobieraniem świadczeń emerytalnych lub rentowych. Co więcej, w rejonach o charakterze rolniczym uzyskanie emerytury lub renty jest często jedynym sposobem zapewnienia sobie jakiegokolwiek dochodu.

„Statystyczny Polak w wieku 45-69 lat – czytamy w raporcie końcowym wspomnianej diagnozy – żyje raczej skromnie, wydając środki przede wszystkim na zaspokojenie bieżących potrzeb. Z pracy własnej uzyskuje dochody tylko nieco ponad 40 proc. osób, natomiast ponad połowa utrzymuje się ze świadczeń społecznych, w tym głównie z emerytury” (s. 13). Pocięchą jest to, że prawie połowa z nich ocenia stan swojego zdrowia jako dobry i to że – przynajmniej w opinii urzędów pracy – sytuacja osób w wieku 45-50 i więcej lat jest lepsza od położenia osób młodszych.

I tak można by dalej przytaczać wiele innych liczb i faktów obrazujących sytuację osób w wieku przekraczającym wiek średni. Część z tych danych jest na ogół znana opinii publicznej, część wzbogaca naszą wiedzę dotyczącą choćby tego, czy lub w jakim stopniu nasze państwo jest państwem opiekuńczym i czy ta jego funkcja powinna być umacniana czy też zmniejszana. Dotykamy w tym miejscu fundamentalnych kwestii ustrojowych, lecz uchylając się od nich można łatwo zagubić zasady, drogi czy sposoby dobrego dla ogółu społeczeństwa rozwiązywania jego codziennego bytu lub zamazywać ich punkty docelowe.

Wydaje się, że uczestnikom tej debaty, która budzi uznanie, udało się też, bez fajerwerków, sformułować różne działania adaptacyjne na rzecz osób zbliżających się do przedemerytalnej fazy życia zawodowego, które „pозwołają na wzmocnienie ich pozycji na rynku pracy”. Chodzi tutaj o pogodzenie punktu widzenia pracodawców, dla których elastyczność zatrudnienia jest kwestią najważniejszą a interesem pracobiorców, dla których z kolei najważniejszą jest gwarancja ciągłości pracy, a więc zawieranie umów

o pracę na czas nieokreślony. Jest też wiele kwestii wymagających stosownych rozwiązań legislacyjnych.

Wspomniana debata, której wagi nie sposób nie docenić, jest w tej perspektywie ważnym świadectwem zdolności podejmowania problemów dla społeczeństwa i państwa zasadniczych i zachętą, aby takie kwestie a nie zegarki ministrów czy wycieczki zagraniczne posłów dominowały w przestrzeni publicznej, zmniejszając zdolność jej uczestników do samodzielnego myślenia.

A jest naprawdę o czym poważnie myśleć.

Wacława MIELEWCZYK

* Debata, stanowiąca przedmiot naszego komentarza, odbyła się w Warszawie 28 listopada 2014 r. Jej organizatorami były m.in. Ministerstwo Pracy i Polityki Społecznej, Uniwersytet Łódzki oraz Europejski Fundusz Społeczny Unii Europejskiej, a uczestnikami specjaliści reprezentujący wszystkie najważniejsze instytucje zajmujące się problematyką zatrudnienia w Polsce. Obszerna publikacja przygotowana dla uczestników debaty pt. *Diagnoza obecnej sytuacji kobiet i mężczyzn 50+ na rynku pracy w Polsce. Raport końcowy* ukazała się pod redakcją Elżbiety KRYŃSKIEJ, Jerzego KRZYSZKOWSKIEGO, Bogusławy URBANIAK i Justyny WIKTOROWICZ.

Jubileusz profesora Władysława Markiewicza

Na progu minionego i Nowego Roku Profesor Władysław Markiewicz, nestor polskiej socjologii, współtwórca jej odrodzenia w powojennej Polsce i autor wielu książek i esejów oraz promotor kolejnych generacji socjologów, lecz przede wszystkim wspomniał Człowiek, ujmujący mądrością, wielką kulturą osobistą i niespotykaną empatią, obchodził Jubileusz 95-lecia.

Z tej okazji licznie zgromadzeni Jego przyjaciele i uczniowie, zebrani na jubileuszowym spotkaniu, złożyli Jubilatowi najszczerze gratulacje i najserdeczniejsze życzenia.

W specjalnym liście Rada Krajowa Towarzystwa Kultury Świeckiej i Redakcja „RES HUMANA” zwróciły się do Jubilata pisząc m.in:

„Przyjmij, Drogi Jubilate, serdeczne życzenia zdrowia, dalszego aktywnego uczestnictwa w życiu intelektualnym i pozostawania dla nas, jak dotąd, niezawodnym znakiem orientacji w burzliwym czasie współczesności.”.

W tym miejscu raz jeszcze przekazujemy Drogiemu Jubilatowi wyrazy najgłębszego szacunku i życzenia wszelkiej pomyślności.

ZAPRASZAMY

do czytania i prenumerowania „RES HUMANA” w 2015 roku

Wszystkich Czytelników i Prenumeratorów naszego czasopisma, a wśród nich tych, którzy pozostają w bliskiej więzi z „RES HUMANA” od początku powstania czasopisma, serdecznie zapraszamy do kontynuowania tych więzi w nadchodzącym Nowym, 2015 roku.

Koszt rocznej prenumeraty RES HUMANA wynosi 42 złote które najlepiej przekazać Redakcji (Warszawa 00-553, ul. Koszykowa 24/1) przelewem bankowym na konto **nr 46 1160 2202 0000 0000 5515 5146**. Zamówienia prenumeraty przyjmują także placówki „RUCH” S.A. oraz GAR-MOND PRESS S.A.

Czekamy na wszystkich Państwa w „RES HUMANA”.

Redakcja „RES HUMANA”

ROZMOWA W „RES HUMANA”

Wiemy coraz więcej, ale także coraz więcej nie wiemy

Z profesorem Henrykiem SAMSONOWICZEM rozmawia Wiesław ŁUKA

Wybrał historię nie z mamony, lecz z miłości – tę opinię o Panu Profesorze usłyszałem w Sali Kolumnowej Wydziału Historii Uniwersytetu Warszawskiego. Kiedy dało się odczuć to pierwsze miłosne drżenie?

Gdy miałem 12 lat i czuję je przez ostatnie 70 lat. A pretekstem były u dwunastolatka książki takich autorów jak Walery Przyborowski (przełom XIX i XX wieku) i Wacław Gąsiorowski (I połowa XX wieku). Moją pierwszą miłością był Napoleon Bonaparte...

Bóg wojny...

Tak, Mickiewiczowskie wyznanie: „Bóg jest z Napoleonem, a Napoleon z nami...” To zawołanie traktowałem dosłownie i pamiętam, że na egzaminie wstępnym na historię chwaliłem się tym przed komisją egzaminacyjną, w której zasiadali m.in. profesorowie Stanisław Arnold i Stefan Kieniewicz. Przed nimi ujawniłem, że szczególnie interesuje mnie Rewolucja Francuska, jej historię chciałbym się zająć. Ale jak to często bywa – życie sprawia niespodzianki i uwiódł mnie prof. Marian Małowist, który zachęcił do zajęcia się Średniowieczem – nie tyle historią wydarzeniową, polityczną, ile historią trwania długich cykli, czyli stosunków gospodarczych i społecznych.

Ale stosunkowo szybko odczuł Pan Profesor inne „drgania” – do polityki. Co w tym obszarze stanowiło miłosny impuls?

To była miłość platoniczna. Gdy człowiek zajmuje się przeszłością wspólnot, w których żyje – narodowej, europejskiej, ogólnoludzkiej, to zaciąga wobec nich dług i należy go spłacić. Mniej więcej w tym samym, wspomnianym już chwilę temu czasie wstąpiłem do podziemnego harcerstwa w latach okupacji niemieckiej. Byłem wywiadowcą władz Polski Podziemnej. Czuję, że to jest moja powinność wobec najbliższej rodziny. Ojciec bowiem wstąpił do wojska w pamiętnym roku 1920 i walczył z bolszewikami. Matka działała jako łączniczka marszałka Józefa Piłsudskiego, co bardzo często opowiadała. Brat, członek AK walczył bohatersko w Powstaniu Warszawskim. Siostra także działała w podziemnej organizacji – więc nie wypadło mi stać z boku. Już w pierwszych latach po wojnie, mieszkając na ulicy Cyryla i Metodego, poczułem pierwsze, groźne powiewy komunistycznej władzy, choć była jeszcze nadzieja...

... Rząd Stanisława Mikołajczyka podejmował próby dogadania się z komunistami ...

Nadzieje pryskały, ale ja byłem ciągle ufny i może naiwny...Uwierzyłem w odwilż październikową 1956 roku – że Władysław Gomułka pójdzie naprzód drogą demokratyzacji, tymczasem on szybko się cofnął. A potem znów ufałem Edwardowi Gierkowi, byłem pod jego wrażeniem – gdy otworzył za Zachód okna do dusznego polskiego pokoju. Jako jego wielkie

osiągnięcie uznałem możliwość swobodnego, jak na tamte czasy, przekraczania granicy do NRD. I to również szybko skończyło, a niedługo potem, bo 1981 roku, skończyła się moja przynależność do partii po wybuchu stanu wojennego.

Jako członek partii, wstępował Pan do Solidarności – czy towarzyszyła temu wiara w skuteczność reform na rzecz uczynienia z tzw. realnego socjalizmu ustroju „z ludzką twarzą”?

Już dwa razy się na to nabrałem, wiara mnie zawiodła, dlatego byłem niezwykle ostrożny w oczekiwaniach. Nawet na początku czerwca 1989 roku, przed historycznymi wyborami do tzw. sejmu kontraktowego dyskutowałem z kolegą podczas powrotu ze studenckiego obozu naukowego o „naszych” możliwościach osiągnięcia sukcesu politycznego. Wzdychaliśmy: żeby uzyskać przynajmniej 30% miejsc w senacie? Chyba nikt nie wierzył w sukces, który stał się udziałem strony solidarnościowej.

Został Pan rektorem Uniwersytetu Warszawskiego i pierwszy, „własny” rok akademicki zainaugurował Pan słynną „procesją” alejkami głównego kampusu przy Krakowskim Przedmieściu...

Chciałbym się pochwalić innym, nie tak widowiskowym momentem tamtej inauguracji – otóż dopuściłem do głosu podczas uroczystej akademii przedstawiciela Niezależnego Zrzeszenia Studentów; to było wówczas coś wyjątkowego. Student tak się przejął tym wyróżnieniem, że na kilka godzin przed uroczystością przyniósł mi w dobrej wierze do ...konsultacji? ...ocenzurowania? ...tekst własnego wystąpienia. Oczywiście, przeczytałem go, nie skreśliłem i nie dopisałem nawet jednego słowa, bo nie czułem takiej potrzeby. Młodzieniec potraktował swój głos jako apel do władz uczelni, by uszanowały niezależność organizacji studenckiej. Z perspektywy lat mogę powiedzieć, że to był głos przedstawiciela społeczeństwa obywatelskiego. Studenci chcieli mieć przywilej współdecydowania o sprawach uczelni – w tym jej organizacji, a nie tylko w zakresie swoich zajęć. Obecnie te wszystkie problemy stały się już banalną praktyką, od której nie ma na szczęście odejścia.

Wróćmy do tej słynnej „procesji” ...Szli w niej obok Magnificencji po lewej stronie wysoki funkcjonariusz partyjny, po prawej prymas Polski, a może odwrotnie. Czy Panu zależało na zbliżeniu tronu i ołtarza, czy też zorganizowaniu widowiska?

To miała być demonstracja idei otwarcia na wszystkie wartości wysokiej klasy. Zaczynałem wierzyć – szybko się okazało, że znów przemówiła naiwność – że samorządność uczelni da się wesprzeć na dwóch filarach: wartości etycznych oraz o politykę, co było w tamtych czasach zrozumiałe i wytłumaczalne. Wierzyłem, że da się wreszcie zrealizować postulaty dotychczasowych kilku zrywów wolnościowych w PRL – października 1956, grudnia 1970, lata 1976 roku o oczywiście sierpnia 1980 roku. Jako przedstawicielowi nauki chodziło mi bardzo o pluralizm poglądów i postaw. Gdybym miał dziś spuentować tamtą inicjatywę, to bym powiedział: gdyby ludzie nie mieli możliwości swobodnego głoszenia swoich poglądów, to do tej pory człowiek jako gatunek siedziałby na drzewach. Ktoś więc musiał z tym wiszeniem, niczym goryl, na gałęzi skończyć, zejść na ziemię i wyrazić chęć odkrywania świata, rzeczy nieznanych. Ta chęć, to druga cecha charakteryzująca człowieka mądrego – *Homo sapiens*. Szczerze mówiąc o tym pisał w XII wieku Piotr Abelard (ten od Heloizy) w swoim dziele *Sic et Non* (Tak i Nie). On, niesłychanie bliski mi autor, dowodził, że kluczem do wszelkiej mądrości jest częste i pilne stawianie pytań, co wytycza drogę dochodzenia do prawdy. Muszę jednak od razu wyznać - nie bardzo lubię ludzi, którzy wierzą, że poznali prawdę od początku do końca, że nie miewają wątpliwości i nie zadają tej swojej prawdzie żadnych pytań. Człowieczeństwo polega na nieustannej dociekliwości jednostki i respektowaniu stanowisk innych ludzi.

Reasumując: nie boję się stawiać własnych pytań i chcę oraz umiem słuchać pytań stawianych przez innych... Z jakimi pytaniami siadał Pan Profesor do obrad Okrągłego Stołu, którego jubileusz ćwierćwiecza świętowaliśmy w ubiegłym roku? Czy był on kolejnym aktem wiary, że system realnego socjalizmu, po złudnych nadziejach twórców stanu wojennego, ma szansę przybrać „ludzką twarz”?

Szczerze mówiąc – nie bardzo wierzyłem w jego sukces, ale mimo wszystko wydawał mi się inicyjatywą absolutnie niezbędną. Staralam się więc doprowadzić do pewnych reform w dziedzinie mi najbliższej – szeroko rozumianej nauki i oświaty, szkolnictwa na wszystkich poziomach, edukacji od przedszkola aż po grób. Siadając do Okrągłego Stołu po stronie solidarnościowej uznaliśmy za priorytet w dyskusji i spodziewanych efektach problemy pluralizmu oraz samorządności. Przyswiecała nam idea tworzenia się społeczeństwa obywatelskiego. Trzeba przyznać, że to, jak dotychczas, jest najbardziej udana rzecz w naszych przemianach. Jednak wiele rzeczy nam się nie udało zreformować – na przykład: służby zdrowia, sądownictwa, czyli trzeciej władzy, narastania biurokracji. W tej ostatniej sprawie - przypomina mi się wydrukowany przed laty rysunek satyryczny: za biurkiem siedzi w fotelu rozparty jegomość i pyta stojącą przed biurkiem, skuloną postać w sutannie: a co będzie miała gospodarka z waszego odkrycia, obywatelu Kopernik? Tu warto poruszyć sprawę w nauce niezwykle ważną: tak zwaną punktową ocenę działalności i jej efektów w dziedzinie nauki.

Przy Okrągłym Stole zajmował się Pan Profesor problemami oświaty, więc naturalną kolejną rzeczą było przyjęcie teki ministra w tym resorcie rządu Tadeusza Mazowieckiego. Chyba najważniejszą decyzją w tej sferze było przywrócenie nauki religii w szkołach. Kto naciskał na podjęcie tej decyzji – Kościół, czy inne siły?

Wszyscy naciskali. Proszę jednak nie patrzeć na tę sprawę roku 1989 przez pryzmat dnia dzisiejszego. Myśmy wtedy mieli wielki dług wobec Kościoła, który w całej poprzedniej epoce, a szczególnie w dekadzie po ogłoszeniu stanu wojennego, był – jak to się wówczas mówiło – jedyną w kraju przestrzenią wolności. Kościół jako instytucja przez trzydzieści, czterdzieści lat dawał możliwość świeższego oddechu społecznego i swobodniejszej dyskusji dla mniejszych i większych grup obywateli. Wydaje mi się, że ten dług należało spłacić, czego teraz żałuję. Mogę to śmiało powiedzieć – niezależnie od tego, czy pójdę do piekła, czy nie - że pracownicy dydaktyczni Kościoła nie byli przygotowani do pracy z dziećmi i młodzieżą w szkołach. Należy też przypomnieć, że rodzice dzieci – a starsza młodzież już samodzielnie – mogli skorzystać z możliwości wyboru między religią a etyką. To prawda, że nie bardzo widzieliśmy o niedostatecznym przygotowaniu także szkoły do nauki etyki. A co do samej religii – zaczęto realizować program jej nauczania nieprzystający do potrzeb młodego pokolenia, niedający mu możliwości kształtowania świadomych postaw w sprawach wiary i moralności. Myśleliśmy wówczas, że programy nauczania dla starszych roczników będą przypominać przedmiot religioznawstwo, a nie wyłącznie katechizmowe wkuwanie prawd wiary i nakłanianie do praktykowania jednej religii. W niższych klasach może należało uczyć modlitwy, przygotowywać dzieci między innymi do pierwszej komunii. Natomiast w starszych klasach powinno się przekazywać uczniom wiedzę potrzebną każdemu człowiekowi – że to, co mamy tu i teraz nie wystarcza dla świadomej egzystencji, że „po drugiej stronie też coś jest”, że choć wiemy o świecie i o człowieku coraz więcej, to równocześnie coraz więcej nie wiemy, czyli w sumie bardzo mało wiemy. Jeżeli we wszechświecie jest nieskończona liczba galaktyk, to co my wiemy o tym, co się tam dzieje?

Jakby Pan Profesor ocenił z perspektywy lat bilans zysków i strat tamtej decyzji, od której, mam wrażenie, zaczęło się układanie na nowo stosunków państwo-Kościół?

Na początku transformacji społeczeństwo było spragnione posiadania możliwości swobodnego realizowania się w różnych sferach życia – w tym także w sferze wiary i praktykowania religii. Właściwie tak jest do dziś. Niech pan rzuci okiem na pełne kościoły ludzi, szczególnie na nabożeństwach podczas ważnych świąt i porówna to z sytuacją na Zachodzie. W innych krajach stosunki państwo – Kościół potoczyły się odmiennie. To prawda, u nas w historii by była potrzeba głębszego rozważenia wielu zagadnień. Jedno z nich, fundamentalne warto zasygnalizować – Rzeczypospolita od wieków była otoczona przez kraje wyznające inne religie – ze Wschodu prawosławie, z Południa otomański islam, od Zachodu protestantyzm. Przeważający katolicyzm pomagał nam przetrwać najtrudniejsze momenty dramatycznych dziejów. Tym niemniej większy pluralizm i w tej sferze byłby w moim przekonaniu korzystniejszy dla kraju.

Ograniczyliby pewien triumfalizm Kościoła instytucjonalnego. Może byśmy nie musieli dziś słuchać wyjątkowo głośnych, propagandowych opinii wielu biskupów i świeckich o rzekomym przesładowaniu polskiego Kościoła...

Mnie nie odpowiada to, co się dzieje wokół Radia Maryja, Telewizji Trwam i księdza Tadeusza Rydzyka.

Słyszymy jego „przestroagę”, wypowiedzianą na forum parlamentu europejskiego, o dokonującej się eksterminacji narodu polskiego, albo jego deklarację: jestem katolikiem, więc nie obowiązuje mnie prawo państwowe. Nasuwa się pytanie: w jakim kierunku idziemy? Do czego zmierzamy? Czy to nie jest grzeszne sianie zamętu i anarchii? A Jan Paweł II u progu nowego tysiąclecia przeproszał świat za „grzechy” Kościoła. O tym też mówił jego następca, Benedykt XVI, który, jeszcze jako kardynał, nazwał to podczas drogi krzyżowej w Colloseum, brudami Kościoła.

A teraz papież Franciszek stara się naprawiać narosłe wynaturzenia Kościoła...

Jest Pan Profesor jednym z sygnatariuszy niedawnego Apelu do władz Rzeczypospolitej w sprawie klerykalizacji kraju...

Niektórych, wysoko postawionych przedstawicieli Kościoła z przyjemnością słucham, ale część z nich – nie wiem, czy większość, czy mniejszość – uważa, że reprezentuje jedynie służącą wiarę, głosi jedyną prawdę i narzuca jedyny kierunek działania. To mi przypomina sytuację Rzeczypospolitej z przełomu wieków XVII i XVIII. Wtedy też działały – z jednej strony Związek Pobożnych, z innej Związek Święconych, zawiązała się Konfederacja Zembrzydzkiego zakończona jego rokoszem. Jedni w Rzeczypospolitej „szli do lasa, inni do Sasa”. Skończyło to się tym, czym się skończyło – przestaliśmy istnieć jako państwo prawie na półtora wieku. Dla mnie słuchanie w tej chwili bieżących wiadomości we wszystkich stacjach telewizyjnych i radiowych jest absolutną męką. To podgrzewanie również przez dziennikarzy kolejnych konfliktów prowadzi w prostej linii do powtórki sytuacji sprzed rozbiorów. To, że nie obowiązują księdza Rydzyka i jemu podobnych ustawy i prawa państwowe, to jest – jak mawiał Talleyrand – „gorzej niż zbrodnia, to błąd”. Nikt dyrektorowi Radia Maryja nie każe zrywać ze swoją religią, nikt mu nie każe jeść mięsa w piątek i łamać nakazy Dekalogu, które są zresztą podstawą moralności ogólnoludzkiej, a nie tylko kościelnej. Trzeba pamiętać, że cechą charakterystyczną *Homo sapiens* jest pluralizm poglądów. Czy ten ksiądz dyrektor uważa, że ta mniejszość, która nie należy do Kościoła katolickiego albo ci, którzy w Kościele reprezentują inne niż on myślenie i działanie pójdą do piekła? Jeśli on tak sądzi, to niech w XXI wieku powie to głośno i wyraźnie – wtedy będziemy mieli temat do rozmów. Nie jestem pewien, czy właśnie tym, którym się wydaje, że reprezentują jedynie słuszny kierunek działania i usiłują go narzucić całemu społeczeństwu, nie przyjdzie posiedzieć w czyścicu, albo nawet siedzieć w piekle.

Jesteśmy świadkami dramatycznego podziału społeczeństwa – to diagnoza, a terapia? Czy są szanse na zniwelowanie tego rowu głębszego niż Wielki Kanion w Kolorado?

Ciągle jestem niepoprawnym idealistą – mnie się wydaje, że mimo wszystko terapią jest demokracja, nauka myślenia, szukanie kolejnych sił głoszących wartość i potrzebę porozumienia. Nadzieją jest nowe pokolenie, które powinno zmienić charakter dyskusji.

Rzeczypospolita w swej historii – która, jak wiadomo est *magistra vitae* – wielokrotnie przeżywała ciężkie kryzysy polityczne i społeczne i jakoś sobie z nimi radziła? Które by Pan Profesor wymienił ku pokrzepieniu serc?

Najdawniejszy przykład – w X wieku przyjęliśmy chrześcijaństwo – co prawda, później niż Czechy i Ruś kijowska. Ale jednak i my weszliśmy wtedy po raz pierwszy do Europy. Następny przykład może być wzorcowy dla dzisiejszych czasów: powstanie i życie Rzeczypospolitej Obojga Narodów (a właściwie trojga narodów). Ostatni z Jagiellonów mówił: nie jestem królem waszych sumień. To jest myśl, którą powinni wziąć pod uwagę dzisiejsi, rozmaici politycy i „nauczyciele dusz”. Wtedy w Polsce współżyło kilka narodów, współistniało wiele języków, wyznań religijnych, prawd i tradycji historycznych, a mimo wszystko powstało społeczeństwo,

do którego z dumą się odnosimy. Można długo dyskutować o przyczynach upadku Rzeczypospolitej, ale nawet w czasie poprzedzającym utratę niepodległości, narodziło się parę wspaniałych inicjatyw i instytucji okresu Oświecenia na czele z Konstytucją 3 Maja i Komisją Edukacji Narodowej. To ona – pierwsze w świecie ministerstwo oświaty – potrafiło wychować pokolenie Polaków, które umożliwiło nam przetrwanie niewoli państwowej. Oni śpiewali w Warszawiance: „Leć nasz orle w górnym pędzie, sławie, światu Polsce służ, kto przyjże wolnym będzie, kto umiera wolnym już... Oni, ich dzieci i wnuki po I wojnie światowej potrafilo na tyle się pozbiierać, że stworzyli II Rzeczypospolitą, państwo niedoskonałe, ale to, które wychowało pokolenie oraz ugruntowało jego wartości wykorzystywane do dziś.

Napisał Pan książkę „Złota jesień polskiego średniowiecza”. W naszej historii „złoto” kojarzy się z wiekiem XVI – złotym okresem kultury polskiej, ale ta „złota jesień...” ?

Tak, jesień średniowiecza, XV wiek, pierwsze stulecie epoki jagiellońskiej doprowadziło do tego, że wcześniejsza Polska – piastowskie państwo jeszcze peryferyjne w Europie, pozostające na marginesie jej wszystkich prądów i ruchów – stało się mocarstwem. Jest w niewielkim kościółku w Strasburgu fresk z przełomu XIV i XV w. pt. *Pochód narodów do krzyża*. Poświęciłem mu kiedyś esej, w którym opisuję 13 postaci rycerzy na koniach i ze sztandarami swoich państw. Ten pochód zamyka Polonia, a jej alegoria, jeździec patrzy za siebie i widzi dwie postaci kroczące pieszo; na sztandarze jednej widnieje napis Orient, to symbol prawosławia, a na sztandarze drugiej postaci napis Lithuania, Litwa. Ten fresk mówi o tym, że po raz kolejny weszliśmy do Europy.

Mamy w kraju instytucję, której działalność od lat wywołuje duże spory – to Instytut Pamięci Narodowej. Czy jest on dobrym nauczycielem naszej historii najnowszej?

Nauczyciele w szkołach i uczelniach mają klucze do badania i propagowania narodowej przeszłości. Również w IPN pracują znakomici badacze. Jestem jednak przeciwnikiem tego, by ten Instytut był równocześnie ośrodkiem prokuratorskim, który bada rozmaite grzechy zawinione przez naszych rodaków. W IPN pracują również zbyt gorliwi poszukiwacze grzechów swoich bliźnich i lansują wybiórczą politykę historyczną. Przykład – ci którzy, wytykają „Bolkowi” pewne pomyłki młodości zapominają po pierwsze, że Wałęsa nam przysparza w świecie wiele chwały, a po drugie wybiórcze podejście do ojczyznej historii sprawia, że ci gorliwcy świadomie zapominają, że m.in. generał Henryk Dąbrowski, bohater narodowego hymnu był w swoim czasie pruskim oficerem, a Józef Piłsudski szpiegował na rzecz Austrii. Więc warto tym „prokuratorom” przypomnieć słowa Jezusa: „ Kto jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamieniem...”

Jako współautor książki „Prawda i fałsz – o polskiej chwale i wstydzie” co by Pan Profesor zapisał po stronie chwały, a co po stronie fałszu w ostatnim ćwierćwieczu?

Na chwałę zdołaliśmy mimo wszystko w większym lub mniejszym stopniu zbudować społeczeństwo obywatelskie. Na chwałę widać zza okien pociągów oraz samochodów nową Polskę ożywioną trawnikami i ukwieconą klombami. Na chwałę z zachodnich filmików zniknęły obrażki rolników z kosą, pługiem i koniem, a królują kombajny. Po stronie wstydu – m.in. działalność służby zdrowia i III władzy – wymiaru sprawiedliwości. No i najnowsze chore rojenia o fałszywych wyborach do samorządów. Mam jednak nadzieję, że powstrzymamy te i temu podobne rojenia prawicowej opozycji i dużej części kościelnej hierarchii.

Dziękuję za rozmowę.



JAK BRONIĆ ŚWIECKOŚCI PAŃSTWA?

Tak zatytułowaną i kolejną, po dyskusji na temat klauzuli sumienia ważną debatę zorganizowała 20 listopada 2014 r. w Sejmie RP jego wicemarszałkini, Wanda NOWICKA przy współudziale prof. Magdaleny ŚRODY.

Nie sposób nie uznać trafności wyboru tematu tej debaty w tym właśnie czasie: czasie widocznego wzrostu niezwyklej aktywności polskiej hierarchii kościelnej ukierunkowanej na podważanie konstytucyjnych zasad ustrojowych naszego państwa z wyraźną chęcią zawłaszczania kolejnych przestrzeni życia zbiorowego dotąd neutralnych światopoglądowo lub będących wspólnym dobrem wszystkich obywateli; i w czasie nieodległym po opublikowanym 17 października 2014 r. głośnego listu otwartego polskich intelektualistów przeciwko klerykalizacji Polski i w obronie demokratycznego państwa prawa skierowanego do władz III Rzeczypospolitej.

W debacie o świeckości udział wzięli znani i cenieni znawcy tej problematyki: profesorowie Tadeusz BARTOŚ, Monika PŁATEK, Stanisław OBIREK i Mirosław WYRZYKOWSKI, oświetlając ją z różnych perspektyw teoretycznych, lecz wspólnych i zgodnych w swym przesłaniu ze wspomnianym, październikowym listem intelektualistów.

Pragniemy poniżej przybliżyć naszym Czytelnikom treść tej debaty, podobnie jak debaty na temat klauzuli sumienia, poprzez wybór z zapisu elektronicznego, najważniejszych naszym zdaniem fragmentów wystąpień jej uczestników, i tych, które nie były już opublikowane w innych czasopismach.

Zapraszamy do lektury zamieszczonych tekstów.

Redakcja RES HUMANA

Wanda NOWICKA, wicemarszałkini Sejmu Rzeczypospolitej

Impulsem dzisiejszej debaty jest głośny list w sprawie klerykalizacji kraju, którego niektórzy sygnatariusze są dzisiaj tutaj z nami, i których serdecznie witam. Ten list odbił się szerokim echem – i słusznie, bowiem dość rzadko, gdy mówimy o zjawisku klerykalizacji państwa, prawie nie mówimy o odpowiedzialności państwa, jego wszystkich instytucji za istniejący stan rzeczy. Skłonni bowiem jesteśmy uważać, że wszystkim winien jest Kościół katolicki, który oczywiście ponosi ogromną odpowiedzialność za to, co się dziś dzieje. Ale fakt, że proces klerykalizacji coraz bardziej narasta, skłaniać nas musi do refleksji na temat odpowiedzialności instytucji publicznych za powstanie tej sytuacji. I dlatego na tej kwestii chcielibyśmy dzisiaj skupić naszą uwagę.

Czy zjawisko klerykalizacji kraju, z jakim mamy do czynienia obecnie w Polsce, zapytajmy, jest wynikiem wadliwego prawa czy innych zjawisk, jak choćby rozmaitych postaw konformistycznych, zwykłego oportunistycznego, który cechuje wiele instytucji władzy publicznej, władzy, która na zło klerykalizacji przymyka oczy? Fakt, że list odbił się szerokim echem świadczy o tym, że do społeczeństwa w coraz większym stopniu dociera idea i praktyka państwa świeckiego. Bo kwestia klerykalizacji kraju, to nie są kwestie wyłącznie światopoglądowe, to bo są kwestie mające bardzo konkretny i praktyczny wpływ na nasze życie codzienne, że wspomnę tutaj o kwestiach edukacji, o obowiązku uczestniczenia wszystkich uczniów we wszystkich obrządkach religijnych, czy kiedy mówimy o służbie zdrowia, gdzie zagościła w niej klauzula sumienia, a właściwie nadużywanie tej klauzuli z niekorzyścią dla pacjentów. Sprawa Chazana, była, jak

myślę, dzwonkiem alarmowym, który wszystkim uświadomił, że naprawdę źle się dzieje, i musimy jako społeczeństwo stanowczo przeciwstawić się tym procesom. Sprawa krzyży jest żywym i tutaj, Sejmie RP, dowodem tego, że wystarczy gdzieś powiesić krzyż i już nikt się nie odważy, z małymi wyjątkami, aby go zdjąć.

Nasza dzisiejsza debata może nam odpowiedzieć na te pytania. Spróbować ocenić istniejący stan faktyczny zarówno, jeśli chodzi o prawo jak i o praktykę, jak również, mam nadzieję, doprowadzić do pewnych wniosków jak temu zjawisku postępującej klerykalizacji przeciwdziałać, bo chyba już coś się w społeczeństwie przełamało, bo wzrosła społeczna gotowość, społeczna zgoda społeczna, aby jednak coś zrobić z tym zjawiskiem groźnym dla demokratycznego państwa prawa.

Profesor Mirosław WYRZYKOWSKI

Skoncentruję się w swoim wystąpieniu na analizie przepisów Konstytucji RP, dlatego, że jest ona dla mnie, i zapewne nie tylko dla mnie, punktem wyjścia odpowiedzi na pytanie jak bronić państwa świeckiego. Zastanawiałem się w związku z tym nad motywacjami, jakie kierowały wypowiedziami, na szczęście już byłego, wysokiego przedstawiciela rządu, który z uporem twierdził, że Rzeczpospolita Polska nie jest państwem świeckim. Dlaczego się zastanawiałem? Otóż dlatego, że musi być jakaś alternatywa dla stwierdzenia, iż jakiś byt nie jest takim bytem o którym się mówi pozytywnie. W związku z tym jeżeli trzymać się reguł logiki, trzymać się reguł wykładni zjawisk, które dotyczą charakteru państwa, no to wtedy trzeba byłoby uzupełnić wypowiedź owego byłego przedstawiciela rządu. Bo skoro Rzeczpospolita Polska nie jest państwem świeckim to jest państwem wyznaniowym, a jeżeli tak, to trzeba by udowodnić normatywnie, że mamy do czynienia z takim charakterem państwa polskiego.

Ja postaram się przedstawić dowód na inną tezę, a mianowicie, że polskie państwo jest państwem świeckim. Punktem wyjścia w dyskusji jest zawsze preambuła do Konstytucji i preambuła ma stanowić ten argument podstawowy, który uzasadnia trafność poglądu o świeckim charakterze państwa. A co znajdujemy w preambule do Konstytucji? Po pierwsze, trzeba najpierw stwierdzić, że Konstytucja RP nie konstytucjonalizuje Boga. W tej części, w której mowa jest o tym, że Bóg jest źródłem prawdy, sprawiedliwości, dobra i piękna mamy jednocześnie i równorzędnie określenie, że źródłem analogicznych wartości są te, które wywodzą się z innych źródeł, mają charakter wartości uniwersalnych. Innymi słowy, nie ma ani preferencji Boga, ani preferencji źródła wartości uniwersalnych, bo są na jednej płaszczyźnie usytuowane owe dwa źródła wartości. Po drugie, mamy odniesienie do chrześcijańskiego dziedzictwa narodu, ale jest zarazem mowa o równoważnym źródle owych wartości jakim są wartości ogólnoludzkie. Dalej mowa jest o tym, że ci, którzy tworzą sobie konstytucję, są odpowiedzialni przed Bogiem, ale są równocześnie odpowiedzialni przed własnym sumieniem. Zmierzam do tego, że twierdzenie o szczególnym znaczeniu konstytucji jako źródle i podstawie wyprowadzania wniosków o nieświeckim charakterze państwa polskiego nie ma takiego uzasadnienia, jakie chcieliby przypisać twórcy tej koncepcji. Po drugie, mamy do czynienia z regulacją prawną, która w części normatywnej wskazuje na to, że ustrojodawca Polski wyraźnie określił charakter państwa polskiego jako państwa świeckiego i neutralnego światopoglądowo. W konstytucji jest mowa o bezstronności światopoglądowej, ale znowu wykładnia tworzenia tego przepisu oraz wykładnia znaczenia normy prawnej artykułu 25, gdzie mowa jest o bezstronności światopoglądowej, prowadzi do wniosku, że mamy do czynienia z pewną substytucją, że tak naprawdę rzecz dotyczy neutralności światopoglądowej władz publicznych, i co ciekawe, ci którzy mówią o nieświeckim charakterze państwa polskiego pomijają ważną normę ustawową z *Ustawy o gwarancjach wolności sumienia i wyznania*, gdzie mowa jest o tym, że Rzeczpospolita Polska jest państwem świeckim, neutralnym w sprawach religii i przekonań. Oczywiście nie można wyklądać, interpretować konstytucji poprzez przepisy ustawy, przeciwnie, przepisy ustawy w razie wątpliwości trzeba interpretować z perspektywy

konstytucyjnej, ale chcę podkreślić tę okoliczność, że *Ustawa o gwarancjach wolności sumienia i wyznania została* przyjęta w 1989 roku, że obowiązuje 25 lat, i jeżeli by rzeczywiście była konstytucyjnie wątpliwa, to należało po 1997 roku zaskarżyć ten przepis ustawy, o którym mówię, do Trybunału Konstytucyjnego jako przepis niezgodny z konstytucją. Jeżeli to się nie dokonało, to powstaje pytanie: dlaczego? Otóż sadzę dlatego, że z koncepcji neutralności państwa świeckiego i neutralności światopoglądowej władz publicznych wynika kilka elementów, które legitymizują ideę neutralności i świeckości państwa. Po pierwsze, to jest otwarcie na dialog, po drugie – to jest szacunek dla pluralizmu społecznego, religijnego, politycznego, wszelkiego pluralizmu, który jest podstawą tkanki społecznej w naszym państwie, po trzecie, zakłada konsensualne rozwiązywanie sporów, czyli takie rozwiązywanie, które pozwala na uwzględnienie w maksymalnym stopniu wszystkich wartości spornych, które wchodzi w grę i zmniejszenie lub ograniczenie tego, do czego nie można się porozumieć. Innymi słowy, jeżeli przyjmiemy świecki charakter państwa to na końcu procesu rozwiązywania konfliktu będziemy mieli maksymalną harmonizację interesów, a nie wyłączenie, będziemy mieli do czynienia z działaniem na rzecz państwa jako dobra wspólnego.

Idea państwa świeckiego i państwa neutralnego prowadzi do włączania w najszerszym zakresie tych, którzy w danym państwie i społeczeństwie żyją. Innymi słowy koncepcja włączania a nie wyłączania jest determinantą myślenia o charakterze państwa. Bo co to znaczy włączanie a co wyłączenie, to najlepiej pokazała sytuacja *Golgoty Piknik*. Wyłączenie i włączanie jest elementem demokracji, ale zarazem demokracja ma to do siebie, że państwo demokratyczne nie orzeka w sprawach religii, nie mówi co jest prawdą co jest fałszem, państwo demokratyczne zakłada pokój społeczny, zakłada, że jest wspólnotą mimo istniejących różnic, że nie jest ani katolickie, ani akatolickie, ani antykatolickie. Państwo demokratyczne oznacza, że mamy do czynienia z sytuacją, w której państwo takie oparte jest w swojej aksjologii na modelu, który jest szerszym niż reprezentowany przez jedną choćby najsilniejszą grupę społeczną. Z Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej wynika obowiązek równego respektowania wszystkich bez względu na to czy należą do większości czy należą do mniejszości, czy są siłą dominującą czy są grupą, która czuje się skrzywdzona. I neutralność i świeckość państwa zapobiega zawłaszczaniu państwa przez partykularny światopogląd, bez względu na to, jaki to by był partykularny światopogląd; to jest ochrona nas wszystkich przed sytuacją, która w historii jest znana i wcale nie oznacza, że nie może się powtórzyć. Ale wykluczyć tego nie możemy i dlatego jestem gotów do rozmowy o konstytucji po to również, aby przekonać moich rozmówców o tym, że tożsamość konstytucyjna państwa polskiego jest bardziej złożona niżby chcieli ci, dla których symplifikacja rzeczywistości jest podstawową cnotą. Tymczasem tożsamość konstytucyjna to jest tożsamość pluralizmu społecznego, religijnego, politycznego, moralnego, etycznego; tożsamość konstytucyjna to jest zakotwiczenie funkcjonowania społeczeństwa w zasadach tolerancji szeroko rozumianej; i tożsamość konstytucyjna to jest tożsamość państwa, które gwarantuje wolność dla wszystkich. Podkreślam, dla wszystkich w równym stopniu.

Profesor Monika PŁATEK

Zacznę od przykładu. Jakiś czas temu w Ustrzykach Górnych policjant zatrzymał samochód jadący bez świateł i przekraczający dozwoloną szybkość o 30 km, lecz okazało się, że był to samochód prowadzony przez księdza włoskiego z Watykanu i kiedy policjant chciał wręczyć należny mandat 200 zł, z tego samochodu wyszedł pasażer krzycząc, że to bezczelność i czy on wie z kim ma do czynienia. Po jakimś czasie policjant z Ustrzyk Górnych został wezwany do swojego szefa, który go zapytał czy on naprawdę nie wiedział z kim miał do czynienia, przecież to był arcybiskup Józef Michalik.

W tej sprawie jest kilka rzeczy, które są ciekawe. Po pierwsze (ja nie wiem czy policjant wreszcie wręczył ten mandat czy nie, mandat został zapłacony czy nie, czy wezwany poli-

cjant przez szefa został zwolniony z pracy czy nie), natomiast to, co jest w tym ciekawe, to tłumaczenie szefa owego policjanta, że przecież księża są przez konkordat wyłączeni z prawa obowiązującego w Polsce. Otóż to nieprawda, bo jest to stworzone wrażenie, jakoby konkordat był paktem, który podpisaliśmy oddając zarówno duszę i wolność i jakby to nie był kraj i nie nazywał się Polska tylko Rzymem. Tymczasem nie ma podstaw do tego, aby powołując się na konkordat, uważać, że osoby, które są związane z Kościołem katolickim były wyłączone spod jurysdykcji obowiązującego w Polsce prawa. Tak więc, jak już podkreślił prof. Wyrzykowski, konkordat ani nie znosi konstytucji, ani w żaden sposób nie zezwala na to, aby traktować obywateli polskich bez względu na to czy są księżmi czy nie jako osoby, których nie obowiązuje polskie prawo. Artykuł 1 Konkordatu mówi bowiem bardzo wyraźnie: „Rzeczpospolita Polska i Stolica Apostolska potwierdzają, że Państwo i Kościół Katolicki są, każde w swej dziedzinie niezależne i autonomiczne oraz zobowiązują się do pełnego poszanowania tej zasady we wzajemnych stosunkach i we współdziałaniu dla rozwoju i dobra wspólnego”. W artykule tym jest podkreślone to, co najistotniejsze, a mianowicie „zobowiązanie do przestrzegania prawa polskiego”, chociaż, słusznie zauważył prof. Obirek, praktyka w dużej mierze będzie się kształtowała tak jak my ją ukształtujemy. W związku z tym problemy klerikalizacji, które obecnie pojawiły się w kraju, kierują uwagę na konkordat: czy to on bowiem nie jest ich źródłem? Otóż chciałabym tutaj powołać się na trafną konstatację dr Pawła Boreckiego, autora książki *Respektowanie polskiego konkordatu z 1993 roku*, że prawdopodobnie nie tak bardzo nam przeszkadza sam konkordat, ale przeszkadza to, że my go nie przestrzegamy. Nawet tak prosta rzecz jak wprowadzenie Święta Trzech Króli, jako święta wolnego od pracy, z powołaniem się na konkordat, jest w istocie złamaniem tego konkordatu, ponieważ w sposób enumeratywny wykazuje on w art. 9 jakie święta stanowią dzień wolny od pracy, i w tym wykazie Święta Trzech Króli nie ma. Co więcej, konkordat bardzo wyraźnie głosi, że wszelkie jego zmiany wymagają złożonego postępowania i przestrzegania odpowiednich procedur towarzyszących w tworzeniu prawa, które w tym przypadku nie zostały przeprowadzone. Dotyczy to także jeszcze ważniejszej kwestii, a mianowicie kwestii nauczania religii w przedszkolach i szkołach: i tutaj władze państwowe „poszły na skróty”, choćby w przypadku omińnięcia przepisu warunkującego wprowadzenie nauczania religii wraz z wprowadzeniem nauczania etyki, i że mają to być zajęcia nieobowiązkowe, oraz że powinny odbywać się na pierwszej bądź ostatniej lekcji, oraz że mają być bezpłatne. Te wszystkie ustalenia były po kolei łamane. I jest rzeczą charakterystyczną, że kiedy się podnosi te kwestie, to słyszymy, że niestety niczego nie można zmienić bo... ksiądz się na to nie zgadza. Jeżeli wszakże ksiądz się na to nie zgadza to znaczy, że my oddajemy władzę w szkole w ręce księdza.

Oczywiście jest ważne, żeby rozumieć charakter środowisk w jakich działamy czy zwyczaje jakie obowiązują w danych środowiskach, natomiast jest równie ważne, aby rozumieć, że to my decydujemy o tym, aby prawo było równe dla wszystkich i było przestrzegane. To co się obecnie dzieje nie potrafię sobie inaczej wytłumaczyć, jak daleko posuniętym oportunizmem wielu władz publicznych czy ważnych osób życia publicznego, postawą, która polega na nieprzestrzeganiu choćby art. 12 pkt 3 konkordatu, który określa kryteria wykształcenia pedagogicznego, formy i tryb uzupełniania tego wykształcenia osób sprawujących funkcje katechetów. Tymczasem szkoły nie mają żadnego wpływu na to, kto przychodzi do szkoły uczyć religii i gdzie Kościół staje się instancją decydującą np. o zwolnieniu nauczycielki religii dlatego, że zaszła w ciążę. To pokazuje pewną widoczną tendencję, to mianowicie, że źródłem wielu rzeczy budzących niepokój nie jest to, co zapisane w samym konkordacie, lecz to, że konkordat ten jest łamany.

I dotyczy to wielu innych kwestii, które mogłabym za wzmiankowaną książką dr Boreckiego przytaczać, jak choćby sprawę statusu księży kapelanów, ich tytułatury wojskowej czy ich wynagrodzeń. Ale są sprawy poważniejsze. Jak chociażby tyle głośny, co groźny sprzeciw polskich biskupów wobec ratyfikacji przez Polskę konwencji Rady Europy o przeciwdziałaniu przemocy wobec kobiet i przemocy w rodzinie. Państwo nasze, jego najwyższe organy, stoją – nie tylko w przytoczonym przypadku – przed wyborem: konfliktu z Kościołem, a więc także ze znaczącą

częścią społeczeństwa związaną z instytucjonalnym Kościołem a konfliktu z cywilizowaną Europą i jej prawami, do przestrzegania których państwo polskie zobowiązało się w dokumentach decydujących o naszej przynależności do Unii Europejskiej.

Ale może nie o konflikt wyłącznie chodzi, lecz o pewną postawę, której przykład dało nam ostatnio państwo włoskie: w stanowczym oświadczeniu rząd ten odrzucił różnego rodzaju zarzuty sformułowane przez włoski Kościół wobec swojej polityki i konkretnych rozwiązań ustawodawczych i ta stanowczość spowodowała, że włoski Kościół odstąpił od swoich zarzutów, uznając je za... „nieporozumienie”.

Czyli możliwa jest także droga układania stosunków z Kościołem nie tylko czy nie jedynie, przyzwalając mu na eskalowanie coraz do nowych żądań czy pretensji, albo droga konfliktu i konfrontacji. Lecz może być i trzecia droga, której podstawą stosunków powinno być przestrzeganie litery i ducha zawartych porozumień, także tych, które zawarte są w konkordacie. W art. 1 tego dokumentu stwierdza się: „Rzeczpospolita Polska i Stolica Apostolska potwierdzają że Państwo i Kościół katolicki są każdy w swej dziedzinie niezależne i autonomiczne oraz zobowiązują się do pełnego poszanowania tej zasady we wzajemnych stosunkach i we współdziałaniu dla rozwoju człowieka i dobra wspólnego.”

Może warto te zasady przypomnieć polskiemu Kościołowi w roztroprnym dialogu, aby zdobył się rozumieć nie tylko swoje racje, ale też racje odmienne w imię wspólnej troski o dobro wspólne, o państwo polskie.

Profesor Magdalena ŚRODA

Chciałabym w trzech krótkich tezach przedstawić swój pogląd na diskutowane tu kwestie, oparty na doświadczeniu nauczyciela akademickiego, wykładającego filozofię i etykę od 35 lat, w tym, oczywiście ostatnich 25 lat w III RP.

PIERWSZA TEZA, to jest teza o marnotrawstwie czasu, pieniędzy i możliwości intelektualnych. Chodzi mi o takie ugruntowane przekonanie, że nauczanie religii w szkole na nic się nie przekłada. To jest od przedszkola prawie 900 godzin zajęć, które nie przekłada się na ich wiedzę. Bo moi studenci nie wiedzą czym jest Stary Testament, Nowy Testament, czym są Księgi Profetyczne, czym są cnoty kardynalne, cnoty teologalne albo jaki jest kolor katechizmu Kościoła katolickiego. Otóż ja tej wiedzy u nich nie stwierdzam. Dawniej ucząc filozofii Augustyna, Tomasza, Abelarda miałam wprowadzenia polegające na tym, aby choć trochę objaśnić podstawy teologii, ale potem uznałam, skoro jest katecheza w szkołach to już nie będę tego robić. Ta wiedza, która była na poziomie zerowym nie uległa żadnej zmianie. To jest niewiarygodne, że student, czyli ktoś kto ma maturę potrafi mi powiedzieć, że Stary Testament to jest taki zbiór mitów wobec Nowego Testamentu albo że mówiąc o 4 cnotach kardynalnych wymienia w gruncie rzeczy cokolwiek. Uważam więc, że to jest bardzo duży uszczerbek w wiedzy, każdy człowiek który jest wychowany w naszej kulturze, który ma maturę i pretenduje do dyplomu wyższej uczelni, powinien po prostu mieć pewien zakres wiedzy z zakresu religii czy chociażby podstaw dotyczących Biblii, a go nie ma. To, że ta katecheza nie przekłada się na postawy moralne to wiemy, tzn. te 900 godzin nie przenosi się w żaden sposób na wzrost postaw życzliwości i tolerancji, wzajemnej troski czy na zmniejszoną przestępczość. Takie zjawiska nie są obserwowalne. Czy lekcje katechezy przenoszą się na pogłębienie wiary? Szczerze powiedziawszy, nie wiem, bo nie wiem czy robi się badania dotyczące głębokości wiary, ale wydaje się, że ona też jest dosyć powierzchowna. Ostatnio będąc w jednej ze szkół w Świnoujściu, młodzi ludzie – bardzo to było ciekawe spotkanie, bo to było gimnazjum – w którym pytając o wartości, które sobie cenią, i usłyszawszy standardowo bardzo polskie honor, godność i wolność – powiedzieli mi w tym gimnazjum zarazem, że dla nich najważniejszą wartością jest współpraca. To jest dosyć obca wartość w rzeczywistości polskiej, ale jeden z młodych ludzi wstał i powiedział, żebym tak już nie narzekała na tę katechezę w szkole dlatego, ponieważ im więcej katechezy tym lepiej. Oni

uwają bowiem, że jedynym sposobem na przyspieszenie procesów laicyzacji jest zwiększenie ilości katechezy, ale też proszę zwrócić uwagę na to, że to są z tym związane wysokie wydatki państwa. To jest otwarte pytanie do wszystkich. I jest jeszcze kwestia nauczania etyki w szkole. Od 1992 roku prowadzi studium etyki przygotowującej nauczycieli tego przedmiotu. Jest ich już wielu. Gdyby istniała w tej kwestii stosowna wola polityczna, problem etyki w szkole byłby rozwiązany zgodnie z oczekiwaniami społecznymi.

DRUGA TEZA, ma charakter bardziej dyskusyjny. Otóż twierdzą, wbrew powszechnemu przekonaniu, że rodzina nie przygotowuje nas ani do pełnienia wielu ról ze sfery wartości moralnych, przede wszystkim postaw obywatelskich. Oczywiście ja wiem, że wychowanie moralne jest systemem bardzo złożonym i ono opiera się na bardzo wielu różnych czynnikach: i szkole i lekturach szkolnych i autorytetach i Kościele i katechezie, ale przede wszystkim na tym, co młody człowiek znajdzie w internecie. Polecam państwu takie skonfrontowanie wiedzy, którą młody człowiek wynosi z lekcji katechezy z wiedzą, którą czyta w naszych książkach i z wiedzą, którą wynosi, a oczywiście chodzi o podstawy aksjologiczne, z gier komputerowych czy z filmów, które ogląda. Stwierdzam, że to jest absolutna schizofrenia. Moja teza jest taka, że rodzina wychowuje – ja to nazywam w zakresie wartości „wsobnych”: chcemy, żeby nasze dzieci były szczęśliwe, chcemy, żeby znalazły pracę, chcemy żeby założyły rodzinę, chcemy, jeśli je kochamy, wychować w poczuciu bezpieczeństwa, miłości i troski. Jeśli dziecko ukradnie to najczęściej nie doniesie się na niego, albo jeśli będzie ściągać to mu się powie, że jest przedsiębiorcze, i być może na tym będzie się budowało jakieś nadzieje na przyszłość. Chyba w niewielu rodzinach mówi się dziecku, że trzeba brać udział w wyborach, albo że trzeba płacić podatki, albo że dobrze jest budować kapitał społeczny albo że powinno się zaangażować w jakąś działalność pozaszkolną, która nie jest oparta na wartościach czysto rozrywkowych lub przyjemnościowych. Otóż w Polsce, a to mi się wydaje sprawą najważniejszą, nie ma miejsca na edukację obywatelską. Tym miejscem powinna być szkoła. To szkoła powinna uczyć jak powinniśmy się zachowywać w określonych sytuacjach, dlaczego kapitał społeczny jest ważny, jak buduje się i wzmacnia społeczeństwo obywatelskie. Dlaczego ważne jest abyśmy brali udział w różnego rodzaju działaniach społecznych ... Otóż jeśli szkoła nie potraktuje edukacji obywatelskiej poważnie, jak również jeśli poważnie nie potraktuje edukacji etycznej, to będziemy takim społeczeństwem, jakim jesteśmy.

I TRZECIA TEZA, trzecia kwestia, którą wszędzie formułuję, śmiesznie brzmi gdziekolwiek poza Polską, a w Polsce cały czas bulwersuje. Etyka jest wiedzą. To jest wiedza, która istnieje od ponad 2000 lat, bardzo się rozwija od czasów Arystotelesa, także Demokryta czy Sokratesa, jakkolwiek byśmy ją definiowali. I znaczącą częścią tej wiedzy jest oczywiście teologia. Nauczanie Tomasza z Akwinu czy Augustyna, to jest też część tej wiedzy. Z teoretycznego punktu widzenia czyli z tego, co powinno być przedmiotem etyki w szkole uczenie tylko i wyłącznie fragmentu tej wiedzy wydaje się być bardzo poważnym nieporozumieniem i zubożaniem tych młodych ludzi. Ja jeszcze muszę dodać swój własny żal. Mamy w Polsce szkołę Lwowsko-Warszawską, to jest absolutnie genialna szkoła filozofów, którzy zajmowali się w znaczącej części swojej działalności zagadnieniami etycznymi, aksjologicznymi, przy czym przyświecało im takie przekonanie, o którym warto pamiętać, że większość naszych konfliktów moralnych i politycznych bierze się z niechlujnie używanego języka.

Drugie przekonanie wynikające z uznania etyki za wiedzę, to jest przekonanie o jej różnorodności, a z tym też się bardzo ciężko przebić. Otóż ta etyka domowa, wartości które mamy w domu, które nazywam „wsobnymi”, odnoszące się do miłości, bezpieczeństwa, troski, wdzięczności, te wartości przeniesione do sfery publicznej są korupcjogenne... Jeśli w domu dajemy sobie prezenty wdzięczności, jeśli w domu wspieramy bliskich, jeśli pomagamy naszym dzieciom, nawet kiedy one są gorsze niż inne dzieci bo są nasze, to te same zasady działania w sferze publicznej powodują korupcję, powodują nepotyzm. Wiedzę o tym można przyswoić jak i można przyswoić wiedzę o tym, że w różnych zawodach, mamy

Dokończenie na s. 37

WYZWANIA WSPÓŁCZESNOŚCI I ODPOWIEDŹ HUMANISTYCZNA

SPOTKANIA U PROFESOR IRENY WOJNAR

W systematycznych odstępach czasu, i od wielu lat, u profesor Ireny WOJNAR, długoletniej, dziś emerytowanej, nauczycielki akademickiej na Uniwersytecie Warszawskim, uczennicy i asystentki Bogdana Suchodolskiego, oraz spadkobierczyni dziedzictwa myśli swojego Miśtrza, w ramach Komitetu Prognoz POLSKA 2000 PLUS przy Prezydium Polskiej Akademii Nauk, odbywają się konferencje naukowe, których myślą przewodnią jest szeroko rozumiana problematyka człowieka w zmiennej rzeczywistości współczesnego czasu i w perspektywie „humanistycznego zaniepokojenia”.

Podczas ostatniego spotkania, 19 listopada 2014 r., profesorowie Irena WOJNAR oraz Andrzej CIAŻELA, Janusz GAJDA, Henryka KWIATKOWSKA, Agnieszka PIEJKA i Jerzy WILKIN rozważali w swoich referatach pedagogiczną problematykę jakości człowieka w świetle aktualnych potrzeb edukacyjnych oraz podstaw humanistycznego kształcenia ogólnego.

Była to refleksja prowadzona w kategoriach teoretycznych, lecz zarazem wypływająca i adresowana do praktyki pedagogicznej. Ich myślą wspólną było poszukiwanie dróg prowadzących do wzmocnienia podmiotowości człowieka zagrożonej przez rynkowe modele instytucji edukacyjnych, jego ochrona przed zniewoleniem ideą sukcesu i kariery za wszelką cenę, przed depersonalizacją jego osobowości. Spojrzenie na współczesną jakość człowieka rozpatrywano w perspektywie wskazania: „Rozumieć świat – kierować sobą”.

Pragnąc przybliżyć ideę spotkań publikujemy poniżej skróconą wersję tekstu prof. Ireny WOJNAR *Obszary humanistycznego zaniepokojenia* opublikowanego w wydanym właśnie tomie studiów ze spotkania z 2013 r. oraz tekst prof. Janusza GAJDY przygotowany na spotkanie, które u schyłku minionego roku odbyło się w sali Kollątaja Pałacu Staszica w Warszawie.

Spotkania u Profesor Ireny Wojnar są coraz rzadszą obecnie okazją do uczestnictwa w dziełach godnym szczeremu szacunku.

Wacława MIELEWCZYK

Irena WOJNAR

Obszary humanistycznego zaniepokojenia

1. Słowo wstępne

Stan zaniepokojenia pobudzany jest intelektualną i emocjonalną troską w dziedzinie spraw ważnych i bolesnych, znaczących dla losu człowieka, jego samopoczucia i rozwoju. Nawiązuje do kategorii pojęciowej niepokoju, która ma liczne odniesienia literackie, edukacyjne i filozoficzne. Wszyscy pamiętają romantyczny „jaskółczy niepokój” i Musilowskie *Niepokoje wychowanka Torlessa*. Znając klasyczne teksty Johna Deweya rzadko jednak przypominamy, że uzasadniał on potrzebę budzenia „stanów zaciekawienia i niepokoju”, dzięki bogactwu edukacyjnych doświadczeń, także tych, które związane są z obecnością sztuki. Szczególnie inspirujące są jednak dla mnie rozważania francuskiego filozofa, Gabriela Marcela, który analizuje egzystencjalne aspekty niepokoju, w powiązaniu z ciekawością i poznaniem. Czytamy: „Być ciekawym

- to wychodzić z pewnego nieruchomego centrum, to uśiłowac uchwycić, ująć ów przedmiot, o którym miało się niejasne jedynie lub schematyczne wyobrażenie. W tym znaczeniu wszelka ciekawość skierowana jest ku peryferiom. Natomiast - być niespokojnym - to nie być pewnym swego centrum, to poszukiwać swej równowagi (...). Ciekawość tym bardziej stawac się będzie we mnie niepokojem, w im większym stopniu jej przedmiot będzie stanowić część mnie samego, im ścisłej będzie włączony w moją strukturę wewnętrzną. Z drugiej strony niepokój jest tym bardziej metafizyczny, im bardziej dotyczy tego, czego nie można oddzielić od mego «ja» nie powodując jednocześnie unicestwienia owego «ja»" (Marcel, 1984, s. 142). Niepokój zatem stanowi szczególną odmianę uniwersalnego ludzkiego doświadczenia, wrażliwości; wrażliwości egzystencjalnej na to, co ważne i najważniejsze.

Dla prospektywnego myślenia o edukacji są to sprawy świata i człowieka w perspektywie interakcji i współodpowiedzialności.

(W skróconej wersji niniejszego tekstu pominięty zostaje rozdział dotyczący globalnych problemów „humanistycznego zaniepokojenia” zatytułowany SWIAT. Do problematyki tego rozdziału powrócimy niebawem oddzielnym tekstem na naszych łamach - przyp. red.).

2. Obszar zaniepokojenia - CZŁOWIEK

Przypomniane problemy współczesnego świata, w perspektywie troski o jego rozwój i trwanie, ujawniają bolesne zachwianie ludzkiej kondycji. Wzmacnia się aktualność pytań o sens i wartość człowieczeństwa. Warto oczywiście pamiętać, że już Kant zastanawiał się nad „pokrzywionym drzewem człowieczeństwa”. Konrad Lorenz upatrywał w dzisiejszym świecie „regres człowieczeństwa”, a Bogdan Suchodolski pytał: „Dlaczego, skoro Człowiek jest tak wielki, ludzie są tak mali?”, a ludzkie życie oscyluje między uległością wobec wzorców i okoliczności a swobodnymi decyzjami wyboru. Style czy sposoby ludzkiego życia w znacznym stopniu wyznaczane są przez stosunek, do czasu, dziś jesteśmy świadkami dominanty teraźniejszości, poszukiwania satysfakcji doraźnych, łatwych i bezpośrednich, zjawiska znanego jako „kultura niecierpliwości”. Wyraża się ona w prymacie działań doraźnie pragmatycznych, umożliwiających „urządzenie się” w świecie, motywowana bezrefleksyjnością i egoizmem. Tego rodzaju priorytet znajduje swoje uzasadnienie w cytowanych już urynkowionych doświadczeniach zdominowanych przez priorytety konsumpcyjne.

W sposób niemal niepostrzeżony, ale trwałe i konsekwentne, tego typu priorytety ulegają swoistemu transferowi z obszarów ekonomicznych na wszystkie zakresy ludzkiego życia. Omawiane powyżej problemy niekontrolowanej ekspansji neoliberalnego ekonomizmu ujawniły niebezpieczną sprzeczność między coraz bardziej dominującą zasadą wzrostu a bardziej wysublimowanymi potrzebami rozwoju, zrównoważonego i jakościowego. O symboliczne już „granice wzrostu” upominali się przed czterdziestu laty członkowie Klubu Rzymskiego, zastanawiając się nad przyszłością człowieka i świata. Pogłębione studia diagnostyczne, propozycje zarysowania alternatywnych wymiarów przyszłości wpłynęły pośrednio na odsłonięcie roli tzw. czynnika ludzkiego, czyli granic i możliwości sterowania losami świata, ale nade wszystko ukazały zamykane wciąż różnice między „wzrostem” a „rozwojem”. Z troską i niepokojem stwierdzano, iż społeczeństwa zdolne do przetrwania wybierając między różnymi rodzajami rozwoju i celami wzrostu, bardziej zainteresowane są wzrostem niż rozwojem.

Zgodnie z definicją przyjętą w Raporcie Banku Światowego „wzrost oznacza zwiększenie rozmiarów poprzez asymilację lub narastanie materii. Rozwój oznacza zwiększenie szans lub wykorzystanie własnych możliwości, doprowadzenie do pełniejszej, większej i lepszej postaci. Kiedy coś rośnie, to staje się większe, jeśli chodzi o ilość; kiedy się rozwija, to staje się lepsze w sensie jakości” (*Informacja...*, 1992). Zasada wzrostu wywodzi się z programów przyspieszenia cywilizacyjnego i ma oczywiste uzasadnienie, stała się jednak dominantą działania i myślenia we wszystkich niemal zakresach życia społecznego i jednostkowego. Nie ulega wątpliwości rola wzrostu w podnoszeniu jakości życia w zakresie materialnym, wymaga ona wszakże komplementarności w postaci zasady rozwoju wyznaczanej przez tzw. czynnik ludzki konkretyzowany

w postaci szeroko rozumianej kultury. Rozwój bowiem pobudzany jest przez intencjonalną kreatywną rolę człowieka wymierną bogactwem zróżnicowanych jakości. W sposób szczególnie odkrywczy zwracano na te sprawy uwagę w Programie Dekady Rozwoju Kulturalnego (1988–1997) proklamowanym przez ONZ/UNESCO.

Tymczasem w szerokiej praktyce życia społecznego i edukacji dzieje się tak, że sposoby działania, a zwłaszcza myślenie właściwe dla filozofii wzrostu materialnego opanowują obszary z natury swej związane z humanistyczną filozofią rozwoju. Mówiąc słowami Giddensa, „doświadczenia urynkowane” uzyskują niemal obowiązujący status powszechności. Dzieje się to w sposób zaborczy i monopolistyczny. Myślenie ilościowe odbiera humanistyczny sens i autonomiczną wartość coraz większej liczbie ludzkich działań społecznych, kulturze i edukacji. Ludzkie wspólnoty stają się „ludzkimi zasobami”, czy „ludzkim kapitałem”, obywatele – klientami, kształcenie – działalnością usługową o nastawieniu rynkowo-produkcyjnym w najlepszym wypadku – tylko szkoleniem. Priorytet zasady konkurencyjności uzasadniony w produkcji zaczyna dominować w sferze stosunków międzyludzkich, generując konflikty i napięcia, wyciszając bezinteresowność, przyjaźń i wspólnotowość. Gaśnie podstawowy sens współdziałania z myślą o bezinteresownym wzbogacaniu dobra wspólnego, gubią się podmiotowe motywacje ludzkich działań.

Nowe zagrożenia pojawiają się w podstawowych obszarach ludzkiej kondycji rzadko ujawniane i analizowane, kompensowane powierzchownymi doświadczeniami w skali ludyczno-konsumpcyjnej. Tendencje te trafnie i gorzko charakteryzuje tytuł książki Herberta Marcuse *Człowiek jednowymiarowy*. Gaśnie, a z pewnością wycisza się wewnętrzne bogactwo człowieka, definiowane kiedyś jako „humanistyczna tkanka ludzka”, podmiotowość. Stopniowe wzmocnienie tendencji do uprzedmiotowienia człowieka, pozbawiania go świadomej autonomii wyraża się w narastającym przekonaniu na temat samoczynności czy samoregulacji zachodzących przemian w skali ekonomicznego wzrostu, a więc w pogłębianiu społecznie uzasadnionego fatalizmu. Bierność, uległość i brak krytycznej refleksyjności czynią ludzi coraz bardziej podatnymi na propagandę i różnego typu manipulacje: polityczne, obyczajowe, kulturowe.

Upominam się o pełniejszą i powszechniejszą świadomość istnienia dwóch typów przemian zachodzących w naszym świecie i decydujących o charakterze żyjących w nim ludzi. Zawłaszczanie przez zasadę wzrostu ilościowego obszaru jakościowego rozwoju jest groźne dla tych dziedzin, w których dominuje (powinien dominować?) czynnik ludzki, a więc dla kultury i edukacji. Ich opanowanie przez mentalność uprzedmiotowioną może na dłuższą metę stawać się nawet niszczące. Gubi się bowiem podmiotowa tożsamość człowieka, twórcy, czy po prostu odpowiedzialnego sprawcy, współtworzącego różne obszary rzeczywistości a jednocześnie osoby, zdolnej do samorozwoju i działań w kręgu ludzkiej wspólnoty.

3. EDUKACJA – nadzieja, szansa, możliwości

Tradycyjnie edukacja kojarzyła się z obszarem powinności, potrzebą określenia wartości podstawowych dla ludzkiego życia. J. H. Pestalozzi upominał się o „szkołę wychowania człowieka”, zapewne słusznie stwierdzał, że lepiej czy gorzej potrafimy uczyć, z trudem natomiast kształcimy ludzi, brak nam „szkół człowieka” – powtarzał.

Można by, w świetle naszych doświadczeń, powtórzyć analogiczną refleksję.

Proponowana tu „pedagogika niepokoju” uzasadnia wzmocnienie osobistej wrażliwości jednostki, pogłębienie w działaniach edukacyjnych tzw. współczynnika personalistycznego, którym jest „subiektywne doświadczenie obiektywnych działań ludzkich”. Innymi słowy, konieczne jest przywrócenie zagubionej wrażliwości egzystencjalnej, wspomaganie „refleksyjnego projektu tożsamości”, czyli zdolności do świadomego samorozwoju. Odwołam się do dwóch, moim zdaniem podstawowych, zakresów działania edukacyjnego, w skali potocznie określanej jako „intelektualna” i „moralna”, choć określenia te mają wyłącznie charakter porządkujący, a edukacja odnosi się zawsze do CAŁEGO człowieka i musi być zintegrowana.

W pierwszym zakresie służy na przypomnienie edukacyjna intencja procesu Learning, czyli podmiotowego i osobistego procesu uczenia się, mającego stanowić uzupełnienie tradycyj-

nego nauczania (*Teaching*). *Learning* to tyle, co podmiotowy wysiłek edukacyjny, „rodzaj takiej postawy zarówno wobec wiedzy jak i wobec życia, w której akcentuje się znaczenie ludzkiej inicjatywy. Uczenie się jest procesem przygotowywania się do postępowania w obliczu nowych sytuacji” (Botkin, Elmandjra, Malitza, 1982, s. 8).

Rosnąca rola czynnika ludzkiego w świecie, z uwagi na istniejące, ale nie zawsze uświadamiane alternatywy przyszłości, wymaga innych niż dotąd priorytetów w realizacji szeroko rozumianych procesów edukacyjnych, zarówno intencjonalnych, jak i dokonujących się w zakresie szeroko rozumianej permanentnej samoedukacji. W Polsce, niestety, wciąż utrzymuje się jednowymiarowa koncepcja edukacji – bardziej nastawiona na przekaz wiadomości, pomyślanych na ogół w sposób utylitarny niż na kształcenie człowieka jako osoby.

Wymaga namysłu problematyka kształcenia umiejętności w zakresie działań podmiotowych, osobowej odpowiedzialności obecnie zbyt jednostronnie koncentrowanej na tzw. przedsiębiorczości, zaciera się natomiast umiejętność przyjaznej i wspólnotowej współpracy, mającej prowadzić do realizacji dobra wspólnego, w poczuciu odpowiedzialności i klimacie wzajemnego zaufania. Zachodzi pilna potrzeba wyzwolenia w ludziach orientacji prospołecznych, różnych rodzajów uczestnictwa, personalizacji więzi międzyludzkich, które wzbogacają dominujące motywacje „sukcesu” i „zysku” o wymiar altruistyczny.

Ujawnione obszary aktualnej troski edukacyjnej udokumentowane oglądem współczesnego świata i odczuciem niepokojów współczesnego człowieka mogą/powinny pogłębiać naszą humanistyczną wrażliwość. Jest ona jednak coraz boleśniej zabarwiona odczuciem tragizmu ludzkiej kondycji, co wszakże nie zwalnia nas ani od myślenia ani od działania „mimo wszystko”.

Powyższy tekst prof. Ireny WOJNAR jest fragmentem większej całości przedrukowanym z książki *Przyszłość – Świat – Europa – Polska*, wydanej w 2014 r. staraniem Komitetu Prognoz „POLSKA 2000 PLUS” przy Prezydium PAN.

Janusz GAJDA

Człowiek współczesny wobec zderzenia sprzecznych wartości

Zaproponowany mi temat wypowiedzi, podobnie jak cała problematyka listopadowego sympozjum: *Pedagogiczna problematyka jakości człowieka*, stanowi kontynuację ubiegłorocznej konferencji: *Obszary humanistycznego zaniepokojenia* i nawiązanie do analogicznych spotkań Komitetu oraz istotnych i wciąż aktualnych opracowań, zwłaszcza Profesora B. Suchodolskiego. W ubiegłorocznych moich rozważaniach na temat niepokojów i głównych zagrożeń w świecie skoncentrowałem się na kategorii pojęciowej niepokój i jego ambiwalentnym aksjologicznym wymiarze w życiu i edukacji a następnie na dwu kręgach zagrożeń budzących uzasadnione niepokoje. Jedne to niezawinione przez człowieka dotyczące makroświata: zagrożeń kosmicznych, a drugie – płynące ze świata stworzonego przez człowieka w dwu jego wymiarach: całokształtu egzystencji materialnej, społecznej i duchowej ludzi oraz świata wewnętrznego poszczególnych osób, kształtowanym wyborem realizowanych wartości, określonym stylem i sensem życia.

Słowa kluczowe, zawarte w tegorocznym temacie mojej wypowiedzi, obligują do omówienia dwu kręgów zagadnień:

1) treść i zakresu pojęcia „człowiek”, aby wskazać jego nowe znamienne cechy jako człowieka współczesnego;

2) zachowania społeczności i narodów w przypadku zderzenia odmiennych kultur i sprzecznych wartości oraz zachowania w tego typu przypadkach pojedynczych osób, a w tym jednostek wrażliwych o ukształtowanej osobowej tożsamości, przeżywających bolesne rozdarcie wewnętrzne na skutek trudnych wyborów. A zatem problematyce zagrożeń wynikających ze świata stworzonego przez człowieka

1. Człowiek – treść i zakres pojęcia a cechy znamienne osobnika współczesnego

- W rozważaniach na temat treści i zakresu pojęcia człowiek wychodzę od potocznego słownikowego ujęcia (cytuje): *Gatunek ssaków z rodziny człowiekowatych; istota ludzka mająca świadomość własnej osobowości, zdolna do tworzenia kultury, odznaczająca się najwyższym rozwojem psychicznym i społecznym, posługująca się mową symboliczną.*

Te cechy gatunkowe i najwyższe miejsce w hierarchii istnień powodują, że człowiek jest obiektem (a niekiedy i centrum) zainteresowania, filozofii, religii, sztuki i wielu dyscyplin naukowych, stąd najbogatszy zakres znaczeniowy – ukazany w literaturze naukowej, publicystyce i sztuce; wszystkie możliwe typologie, koncepcje filozoficzne, znamienne przeżycia i przymioty, co znajduje odzwierciedlenie także w obfitości różnorodnych związków frazeologicznych.

Analiza tego typu opracowań, dotycząca z konieczności czasów najnowszych, podparta literaturą faktu, pozwala na wskazanie w kształtowaniu osobowości i zachowaniach człowieka współczesnego niepokojących cech charakteru, amoralnych, aspołecznych postaw i nierzadko patologicznej indywidualności – będących zaprzeczeniem wartości humanistycznych. Źródła ich należy szukać w przemianach cywilizacyjnych, przesunięciach w hierarchii wartości, stylu i jakości życia, ale również w uwarunkowaniach społeczno-politycznych i ekonomicznych.

Nie sądzę jednak, aby te patologiczne cechy w postawach można przypisywać jako dominujące człowiekowi współczesnemu w ogóle. Są one wprawdzie wyraźnie dostrzegane w kręgu kultury zachodniej, ale powątpiewam czy dotyczą większości populacji we wszystkich krajach tego obszaru. A ponadto, mimo postępującej globalizacji w wielu dziedzinach życia i kulturze, w minimalnym stopniu dotyczą one obszaru kultur Dalekiego Wschodu (chińskiej, hinduskiej) czy Czarnej Afryki (patrz: *Edukacja kulturalna a egzystencja człowieka*, 1986, s. 53-83).

2. Współczesne zachowania ludzi i pojedynczych osób w obliczu zderzenia odmiennych kultur i sprzecznych wartości

Stwierdzenie, że człowiek jest wytworem i twórcą szeroko pojmowanej kultury (orientacji antropologiczno-humanistycznej) jest oczywiste i nie wymaga uzasadnienia. Kultura i zawarte w niej wartości kształtują osobowość człowieka, sprzyjają wszechstronnemu rozwojowi społeczeństw; utrwalają tożsamości osobową, narodową, obywatelską, a przez to także służą zarówno wzajemnemu porozumiewaniu się ludzi i pokojowym formom współistnienia, jak także mogą prowadzić do konfliktów i wyniszczających wojen w przypadku zderzenia kultur o odmiennym konfliktowym charakterze i sprzecznych – wykluczających się wartościach. Takie przeciwstawne dwubiegunowe zachowania potwierdza historia i współczesność (np. w pierwszym przypadku: rozkwit Aten w okresie Peryklesa i Rzymu – Pax Romana, a w drugim: wyprawy krzyżowe, zbrodnie św. Inkwizycji, rewolucje i współcześnie groźny konflikt między państwami kultury zachodniej a nowo utworzonym – skrajnie fanatycznym i o zbrodniczych praktykach – państwem islamu na terenie Syrii i Iraku) Czyżby „nihil novi”?...

Analiza przyczyn, przebiegu i skutków zderzenia konfliktowych kultur i przeciwstawnych wartości czy nawet tylko interesów poszczególnych społeczności na przestrzeni historii i współcześnie potwierdza bliskie podobieństwa, a wręcz niekiedy tożsamość ich istoty oraz w mniejszym stopniu ich formę, która jest bardziej wyrafinowana i zakamuflowana, a ze względu na przekaz w mediach masowych informacja jest wszechobecna i bardziej skuteczna. Źródła większości konfliktów to odmienność kulturowa wynikająca ze różnicowania narodowościowego, religijnego, światopoglądowego i przeciwstawnych wartości lub takich samych, ale ksbnie interpretowanych,

co dotyczy głównie konfliktów w jednym państwie (np. patriotyzm i dobro ojczyzny w pojmowaniu konfederatów barskich a targowiczan). Wymownym przykładem współczesnego kamuflażu form jest ukrywany imperializm ekonomiczny. Ale jest obok drugie oblicze. Dla zastraszenia przeciwnika manifestuje się i nagłaśnia okrutne praktyki i postawy, jak choćby skrajny fanatyzm ideologiczny i religijny, terroryzm, ludobójstwo i inne akty neobarbarzyństwa - rzekomo konieczne dla przywrócenia ładu społecznego, sprawiedliwości, tradycji i najogólniej podejmowane w imię dobra narodu/ów. Nie ma tu zwycięzców. Wyniszczeniu gospodarczemu i stratom w dobrach kultury towarzyszą trudne do odrobienia straty w sferze postaw moralnych. Cierpienia, ponizenie, straty bliskich stygmatyzują pokonanych i mobilizują do równie lub bardziej okrutnych aktów odwetowych, do których włączani są często nieletni (wykorzystywanie Internetu).

W analizie zachowań współczesnego człowieka postawionego w konieczności wyboru wobec wyżej przedstawionych sytuacji - trzeba nieco miejsca poświęcić przeciwstawnym dążeniom w ramach tożsamości osobowej a także przeżywanym konfliktom w relacji: tożsamość osobowa a tożsamość społeczna. Życie bowiem każdego człowieka ukierunkowane jest realizacją celów w oparciu o mniej lub bardziej świadomy wybór wartości. Dzięki tej aktywności podmiotowej zaznacza on swoje miejsce wśród innych, swoją indywidualność, analizuje efektywność swojej działalności i pracy nad sobą i w ten sposób kształtuje tożsamość osobową. Pozytywne doświadczenia z odniesionych sukcesów uskrzydla go, utwierdzając w trafności samokontroli i możliwościach dalszego rozwoju i znaczenia w społeczności. Brak natomiast satysfakcji z podejmowanej działalności, powtarzające się niepowodzenia i nieumiejętność trafnej ich oceny owocują poczuciem niskiej wartości, stresem, bezradnością, niekiedy agresją i chęcią bezwzględnego podporządkowania się przełożonym aby uwolnić się z odpowiedzialności za powierzone zadania i mieć poczucie bezpieczeństwa. Taka postawa bierności i potrzeba uzależnienia od innych może wynikać ze słabej konstrukcji psychicznej osoby. (Jednostki takie poddane są na zabiegi manipulacyjne, reklamę; są „ślepyimi” bezwzględnymi wykonawcami wszystkich poleceń). Zjawisko to zbadane przez E. Fromma określane jest jako ucieczka od wolności (Niekiedy ten sam człowiek przeżywa potrzebę w swej tożsamości osobowej tych dwu przeciwstawnych dążeń w różnych sferach swej działalności (np. pełnej podmiotowości w pożyciu małżeńskim a podporządkowania się w pracy zawodowej, organizacji militarnej).

Znacznie głębsze bywają konflikty między tożsamością osobową a tożsamością społeczną. Bowiem człowiek żyjąc w określonych grupach społecznych, z którymi się identyfikuje i realizuje wspólnotowe cele, może źle znosić wynikające z tego faktu ograniczanie swojej podmiotowości, swobodę działania a przez to odczuwać taki stan jako rozdzierający go konflikt, o czym pisał B. Suchodolski. I tak np. bycie obywatelem według Niego jest obowiązkiem moralnym, ale są stwierdzał, *sytuacje, w których posłuszeństwo wobec interesów własnej społeczności narusza ogólnoludzkie zasady moralności. Być człowiekiem w takiej sytuacji - znaczy walczyć odważnie o uniwersalne wartości, zagrożone partykularnym egoizmem. Oddać się całkowicie własnej ojczyźnie, ale przekraczać jej granice w służbie człowieczeństwa - oto co cechuje istotę ludzką* (*Wychowanie mimo wszystko, 1990, s. 16*).

Analogiczny konflikt między lojalnością wobec państwa a powinnością moralną i głosem własnego sumienia przeżywa tytułowa bohaterka *Antygony* Sofoklesa. Natomiast przeżywany przez Judyma głęboki konflikt między wyborem wygodnego szczęśliwego życia z ukochaną osobą a samotniczym, ofiarnym poświęceniem się pracy społecznej dla ulżenia doli robotników przedstawiony został przez S. Żeromskiego w *Ludziach bezdomnych* w formie symbolu „rozdartej sosny”

*

Pozostaje w zakończeniu wyrazić realną nadzieję, że dobro zwycięży nad złem i ludzkość naszej planety w przeważającej liczbie opowie się, zwłaszcza w stosunkach interpersonalnych, za przyjęciem zasad antropologiczno-humanistycznych.

Autor artykułu jest profesorem pedagogiki i antropologii w Wyższej Szkole Pedagogicznej ZNP w Warszawie, autorem kilku podręczników akademickich, a wśród nich dwutomowej *Antropologii kultury*.

ŚWIADECTWA

GRZEGORZ W.
KOŁODKO

DROGA
do
TERAZ

Władysław MARKIEWICZ **Fizjonomia III RP**

W miarę upływu czasu od 1989 roku, tj. od początku transformacji ustrojowej, poszerza się nasza wiedza o siłach sprawczych tego procesu historycznego, o warunkach i okolicznościach w jakich się dokonywał, o trwałych śladach w sposobach zachowań i rodzajach wartościowania własnych i cudzych poczynań, o krystalizowaniu się nowego oblicza społeczno-gospodarczego, kulturowo-cywilizacyjnego i moralno-intelektualnego narodu polskiego jako członka NATO i Wspólnoty Europejskiej.

Zawdzięczamy to m.in. stale wzbogacanej literaturze biograficznej tworzonej przez uczestników rewolucyjnych wydarzeń ćwierćwiecza. Należy do nich także Grzegorz Kołodko, który czterokrotnie pełnił w tym czasie funkcję wicepremiera i ministra finansów i z pewnością pozostawił po sobie trwałe ślady na fizjonomii ekonomicznej i publiczno-obywatelskiej III Rzeczypospolitej.

Swojej autobiografii nadał Kołodko postać dialogu z profesorem Uniwersytetu Warszawskiego Pawłem Kozłowskim. Rozmowa obu ekonomistów, z dobrym przygotowaniem socjologicznym i politologicznym, przebiega potocznie i harmonijnie, snadź partnerzy znają swoje poglądy i wzajemnie je dzielą i że nie różni ich także stosunek do praktyki społeczno-obywatelskiej mimo odmiennych pozycji przez nich zajmowanych oraz ról społecznych przez nich odgrywanych.

Książka ukazuje niezwykle bogatą osobowość intelektualną i „ludzka” Grzegorza Kołodki. Wszystkie kreowane przez niego wcielenia: ściśle prywatne, jak na przykład wegetarianizm i uczestnictwo w biegach maratońskich; naukowo-badawcze, aż zakrawające na dziwactwo uporczywe trzymanie się zasad realizmu poznawczego i precyzji teoretycznej; rygorystycznego pragmatyka w pełnieniu funkcji wicepremiera i ministra finansów, a jednocześnie pomysłowego reformatora i futurologa; niezmordowanego podróżnika trawionego permanentną ciekawością świata; miłośnika muzyki i sztuki – otóż wszystkie te właściwości mocno ze sobą splecione składają się – jakby to nazwał Bogdan Suchodolski – na Człowieka Pełnego.

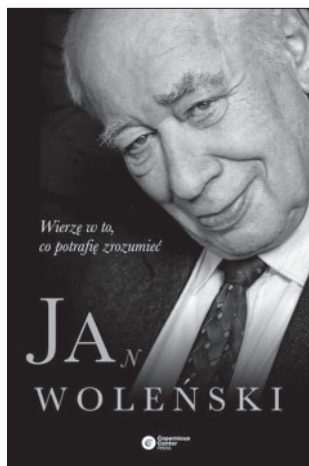
Kołodko świadom jest swojej wartości, w końcu jest rzeczą powszechnie znaną, iż jest najbardziej znanym, najczęściej w literaturze światowej cytowanym polskim ekonomistą, ale w jego wynurzeniach nie ma krzty chępliwości i przysłowiowego zadzierania nosa. Raczej ujmujące jest postrzeganie przez niego i wychwalanie kompetencji i zasług innych naszych badaczy, takich jak Maksymilian Pohorille, Jan Mujżel, Tadeusz Kowalik, a jego upomnienie się o pamięć i uznanie dla Józefa Pajestki szczerze mnie wzruszyło. Nazwisk dyskredytująco krytykowanych przez siebie specjalistów stara się raczej unikać, bodaj najczęściej pojawia się Stanisław Gomułka, a zwłaszcza Leszek Balcerowicz, którego obwinia za spowodowanie „szoku bez terapii”.

Drogę do teraz można śmiało zaliczyć do cennych źródeł historycznych. Zawarta w niej ocena źródeł i przebiegu transformacji ustrojowej, wartości programowej postulatów „Solidarności”, groźby interwencji ZSRR i „bratniej pomocy” krajów socjalistycznych wobec

anarchizacji polskiego życia społecznego i gospodarczego, wprowadzenia stanu wojennego, zorganizowania Okrągłego Stołu – nie różni się zasadniczo od analiz autorów lewicowych.

Na koniec jako najstarszy wiekiem i stażem członek Wydziału Nauk Społecznych i Humanistycznych Polskiej Akademii Nauk nie mogę nie wyrazić głębokiego zdumienia i zawstydzenia faktem, że odrzucono kandydaturę profesora Grzegorza W. Kołodki na członka tej korporacji. Jest to powtórzenie skandalicznego błędu czy też niedopatrzenia, którego ofiarami w latach sześćdziesiątych padli Maria i Stanisław Ossowsky.

Grzegorz W. Kołodko, *Droga do teraz. Z profesorem Grzegorzem W. Kołodko rozmawia profesor Paweł Kozłowski, Prószyński i S-ka, Warszawa 2014, s. 311.*



Bohdan CHWEDENĆZUK Z rogu obfitości

Po lekturze *Rozmowy z Janem Woleńskim*

Mam przed sobą przedstawiciela popularnego ostatnio gatunku piśmiennictwa, wywiad rzekę: *Jan Woleński w rozmowie z Sebastianem T. Kołodziejczykiem, Jackiem Prusakiem i Jolantą Workowską* (Copernicus Center Press, Kraków 2014, s. 238). Szczytowym moim zdaniem okazem tego gatunku w Polsce są rozmowy, które ze Stanisławem Lemem przeprowadził Stanisław Bereś, opublikowane pod wymownym tytułem *Tako rzecze ... Lem* (Wydawnictwo Literackie, Kraków 2002, wydanie drugie poprawione i rozszerzone).

Mam przed sobą rozmowy z siedemdziesięciokilkuletnim uczonym, filozofem, historykiem logiki i filozofii, teoretykiem prawa, nauczycielem akademickim, publicystą, ongiś członkiem partii rządzącej PZPR, jej liberalnego skrzydła, dziś wnikliwym obserwatorem życia politycznego i społecznego, jego krytykiem z pozycji legalisty, racjonalisty, demokracji i liberała; rozmowy z człowiekiem dwóch równorzędnych przynależności narodowych, Polakiem i Żydem, a sięgając do poziomu źródłowego – z człowiekiem o bogatej, różnorodnej osobowości, apodyktycznym, a zarazem skłonny do kompromisu, wyrozumiałym rygorystą, człowiekiem niedogmatycznym, lecz niustępliwym, gdy przychodzi do pryncypiów.

Biografia Woleńskiego bowiem, jego życie prywatne, o którym niejedno ciekawe pada w *Rozmowie*, jego prace naukowe i publicystyka, jego krąg społeczny – wszystko jest w funkcji tej osobowości. Woleński agnostyk, „ale ze wskazaniem ateistycznym” (*Rozmowa*, s. 145), przyjaźni się ze Stanisławem Obirkim jeszcze w czasach zakonnych tego ostatniego, przyjaźni się z Michałem Hellerem, z Józefem Życińskim „byłem bardzo zaprzyjaźniony” (s. 147), a na przeciwnym skrzydle – przyjaźnił się z Barbarą Stanosz oraz z piszącym te słowa, jak on bezkompromisowymi antyklerykałami, a radykalniejszymi od niego krytykami religii.

Czytelnik może czerpać do woli z tego rogu obfitości, recenzent musi wybrać. Moją uwagę zwracają cztery kwestie filozoficzne – po pierwsze to, co nazywam *kompozycją Woleńskiego*, czyli jego agnostycyzm zespolony osobliwie z ateizmem; po wtóre, bulwersujący pogląd, że „jeżeli ktoś w nic nie wierzy, jest to jakaś patologia mentalna” (tamże, s. 144); po trzecie, niejasne stanowisko w trudnej skądinąd kwestii stosunku nauki do religii, a po ostatnie, doniosła deklaracja etyczna Woleńskiego, że jest *sytuacjonistą*. W tych kwestiach albo mam inne zdanie, albo wątpliwości co do prawdy lub co do sensu słów Woleńskiego. W dostępnych mi tu gościnnych ramach mogę jednak zająć się tylko ciekawą filozoficznie i ważną światopoglądowo kompozycją Woleńskiego.

Zacznę od tego, co łączy mnie z Woleńskim. Podzielał mianowicie jego antyklerykalizm, a doceniam, że wyraża go dobitnie, bez eufemizmów i zmiękczeń. Woleński wie, co nie uchodzi filozofowi i obywatelowi, i zna swoją wartość. Potrafi powiedzieć, nawiązując do boju, który toczył między innymi na łamach tygodnika „Polityka”, o dobre imię swojego ucznia Artura Rojszczaka, zabitego przez sąsiada, potrafi w tym kontekście powiedzieć, że „ze mną jednak redaktor Baczyński musiał się liczyć, a z innymi niekoniecznie” (tamże, s. 206). I potrafi też, rzecz doprawdy rzadko spotykana, realistycznie ocenić swój dorobek filozoficzny: „nie sądzę, żeby to miało jakieś specjalnie światowe znaczenie” (s. 67).

Kiedy więc słyszę z ust szacownego galicyjskiego profesora (mimo lat świetlnych, żyje i dobrze się miewa galicyjskość!), z ust człowieka w gruncie rzeczy umiarkowanego, kiedy słyszę, że po 1989 roku Kościół „zaczął być antyspołeczny w wielu kwestiach” (s. 52), „krzyż jest symbolem przewagi politycznej podszytej religią” (s. 197), a „Polska jako państwo wyznaniowe jest pewnym stanem faktycznym, potwierdzanym nie tyle prawem, ile praktyką jego stosowania” (s. 198), słyszę moje gorzkie myśli wyrażone bez gwałtu na polszczyźnie.

Podzielał też wynik ogólny przeglądu dowodów na istnienie Boga, czyli Woleńskiego krytykę tak zwanej teologii racjonalnej – że mianowicie wszystkie te dowody są niekonkluzywne. Trudno skądinąd nie podzielać poglądu, że „każdy znany ... argument teologii racjonalnej jest logicznie błędny” (s. 149), poglądu przekonującego wielu, odkąd Immanuel Kant ustanowił jego zrąb (przypomnę, pod koniec XVIII stulecia).

Gdy Woleński potępia okrucieństwo wobec zwierząt, gdy oburza go traktowanie zwierząt „przy masowej produkcji żywności” (s. 211; zob. też s. 212–213), jestem po jego stronie. Na jego miejscu natomiast, z jego wrażliwością na cierpienia zwierząt, skorzystałbym z okazji, skoro rozmowa zesłała na teizm jako doktrynę Kościoła, by wskazać zależność między katolicyzmem a losem zwierząt. Gdybyż wiejscy proboszczowie stosownie napominali z ambon, los wiejskich psów mógłby być lepszy!

Woleński zaś, który odkrył swoje żydostwo i odsłania antysemitki jad w popularnym zwrocie „przyznał się, że jest Żydem”, ten Woleński budzi moje uznanie i sympatię. Walczy bowiem nie tylko o swoje, walczy o nasze (zob. rozdział „Ja, Hertrich”, s. 171–193).

Ale potrafi też budzić sprzeciw i niezadowolenie. Woleński: „Ja jestem agnostykiem, ale ze wskazaniem ateistycznym” (s. 145). Agnostycyzm Woleńskiego nie jest deklaracyjny, jest bowiem *argumentowany*, mianowicie w książce *Granice niewiary* (Wydawnictwo Literackie, Kraków 2004). Agnostycyzm Woleńskiego, wedle świadectwa *Rozmowy* natomiast, występuje w pewnej kompozycji – z ateizmem, nie byle jakim, bo uzyskanym w wyniku wyboru i praktycznym (s. 145).

Poprzestaną na agnostycyzmie, czyli na rdzeniu tej kompozycji. Położenie Woleńskiego rozumem następująco: mam argumenty, które prowadzą do agnostycyzmu – a chciałoby się dodać, mógłbym na tym poprzestać – lecz coś mnie zmusza do wyboru wiary, że Bóg nie istnieje, czyli do wyboru ateizmu. Ateizm pokroju Woleńskiego jest bowiem w tej sytuacji wiarą, skoro argumenty nakazały mu zawiesić sąd, że Bóg istnieje, na równi z sądem, że nie istnieje, czyli przyjmując agnostycyzm i na tym zakończyć czyhanie na Boga. Czytelnikowi muszą zostawić namysł nad interesującymi pytaniami, co właściwie prowadzi Woleńskiego do ateizmu i na czym polega praktyczność tego ateizmu. Zastanawiające jest też, czy w jednej głowie może bez kolizji mieszkać agnostycyzm z poglądem, że „każda religia jest po prostu mitem” (s. 145).

Rozumowanie, które przywodzi Woleńskiego do agnostycyzmu, widzę następująco: (1) **Powstrzymuj się od sądu zawsze wtedy, gdy zdanie oraz jego negacja – tutaj: „Bóg istnieje” oraz „Bóg nie istnieje” – są równosilne!** (2) **Przytoczone zdania są równosilne.** (*Wniosek*) Zostań agnostykiem!

Przedyskutujmy to rozumowanie. Dyrektywa (1) jest moim zdaniem bez zarzutu – zaleca poznawczo bezpieczne postępowanie, bo chroni przed błędem, w sytuacji równości zdań. Trzeba jeszcze, by prawdziwe było twierdzenie (2) o równości naszych zdań, i dostajemy *Wniosek*. Tymczasem, *da liegt der Hund begraben*, w tym szkopu!

Uprzedzam. Wywód, który przedstawię, wymierzony w twierdzenie (2), nie jest dowodem jego fałszywości. Jest rekonstrukcją utajonych przeświadczeń, których używa agnostyk, by osiągnąć swoje,

czyli agnostycyzm. Jeśli rekonstrukcja ta jest udana, rzuca cię na zasadność agnostycyzmu. Agnostyk korzystający z dyrektywy (1) wydaje się być uosobieniem racjonalności. Dyrektywa ta stanowi rdzeń obyczajowości badawczej przestrzeganej w nauce, jeden z filarów metodologii naukowej – żaden naukowiec nie będzie ryzykował hipotezy, za którą przemawia nie więcej niż za jej negacją. Ale też mało kto uzna za równosilne zdania takie, że za jednym nic nie przemawia, a jego negacja (u nas: „Bóg nie istnieje”) nie ma wprawdzie dowodu, lecz przemawia za nią właśnie to, że za tamtym zdaniem (u nas: za zdaniem „Bóg istnieje”), którego jest negacją, nic nie przemawia. Zdanie „Bóg nie istnieje” jest skądinąd niedowodliwe nie ze względu na swoją treść, która by je uodparniała na dowód, lecz ze względu na formę logiczną, jest więc trywialnie niedowodliwe, jak wszystkie zdania tej formy.

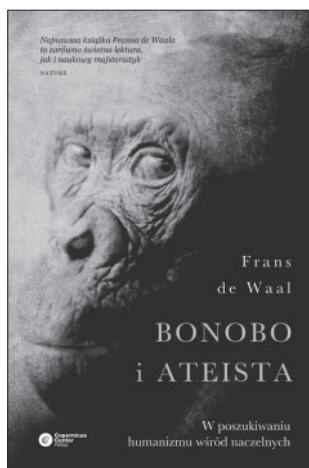
Agnostyk natomiast, nie bacząc na metodologię, z której wzięł dyrektywę abstynencji (1), dyktującą *powstrzymywanie się od sądu* w sytuacji równosilności, traktuje sąd o nieistnieniu Boga na innych prawach niż sąd o każdym innym kandydacie do istnienia. Jest coś z paradoksu, że aby otrzymać twierdzenie (2) o równosilności, musi uprzednio uznać sąd o nieistnieniu Boga za nierównosilny wszystkim innym sądom o nieistnieniu, podciągając go w ten sposób do poziomu równosilności z sądem o istnieniu Boga. W przypadku bowiem wszystkich innych sądów o nieistnieniu, w przypadku wszystkich, by tak rzec, *świeckich* sądów o nieistnieniu, gdy za istnieniem nic nie przemawia, nieistnienie uznajemy za wiarygodniejsze lub za przesądzone. Agnostyk lokuje więc milcząco sąd o nieistnieniu Boga wyżej niż tamte i dopiero ten ruch pozwala mu uznać go za równosilny z sądem o istnieniu. Wydaje się jednak, że nie ma żadnych *rzeczowych* racji, by traktował Boga z uniżonością, skoro nie wie o jego istnieniu.

Agnostyk zatem, który jedną ręką zapisał się do klubu racjonalnych, przyswajając dyrektywę (1), drugą się z niego wypisuje, stosując nieobyczajną w tym klubie „metodę” szacowania równosilności zdań o istnieniu i nieistnieniu. Bez dyrektywy (1) tymczasem nie może ruszyć z miejsca, ale bez twierdzenia (2) nie może dotrzeć do celu. Uzyskany w ten sposób agnostycyzm jest więc owocem niespójnego postępowania. Przypomina most, którego budowniczy zaczął od inżynierskich obliczeń, po czym zwrócił się do wróżki z prośbą o wskazówki.

Jeśli mam rację, sytuacja jest dramatyczna. Agnostyk zmierza do bezstronnego, wyważonego, więc racjonalnego poglądu na istnienie Boga, lecz po drodze przechyla szalę na korzyść Boga. Nie wydaje się zatem, by tym sposobem cel osiągnął.

Rozmowa z Janem Woleńskim natomiast prowadzi, jak widać, w dramatyczny świat myśli, świat błędzenia, sporu i dociekania. I to jest jej wartość główna.

Autor tekstu jest profesorem filozofii w Uniwersytecie Warszawskim. Podkr. – od red.



Czesław MATUSEWICZ

Przekaz do wnuczków

W ubiegłym roku nadeszła z Ameryki wiadomość o ukazaniu się wartościowej i interesującej książki. Była to właśnie recenzowana praca pt. *Bonobo i ateista*, wydana przez Copernicus Center Press, Kraków 2014, która to jest dziełem profesora Fransa de Waala, jednego z wybitniejszych naukowców współczesnego świata. Amerykański magazyn „Time” zaliczył go do elitarnej setki osób, które kształtują obecnie nasze rozumienie świata. Jest on profesorem uniwersyteckim i

dyrektorem centrum badań zachowania naczelnych. Specjalizuje się w prymatologii, biologii i zoopsychologii. A prezentowana praca została uznana przez redakcję „New Scientist” za jedną z dziesięciu najlepszych książek 2013 r.

To wprowadzenie mówi wiele o wrazeniu, jakie wywiera książka, wiele, ale daleko nie wszystko. Obcując z nią Czytelnik odczuwa bezpośredniość kontaktu z autorem, jego narracja jest tak komunikatywna, trafna psychologicznie i angażująca, że może być traktowana jak rozmowa na „żywo”.

Autor nie jest rygorystą, nie trzyma się sztywnych reguł klasyfikacji wątków tematycznych, lecz, jak w rozmowie, przerzuca się na „lepkie” skojarzenia, by po dygresji znowu powrócić do uprzedniego wątku. Jego tekst-opowieść oddaje ciepłe emocjonalnie ustosunkowanie naukowca do badanych zwierząt, nie mówiąc już o ludziach.

Czytelnikom sprawia zazwyczaj wielką przyjemność elegancka forma przekazywanej treści. Niemniej ta ostatnia decyduje o wartości pracy naukowej. Jakim więc przesłaniem merytorycznym obdarzył nas F. De Waal? Rzecz w tym, że jest ich wiele, dotyczą kwestii z zakresu estetyki, filozofii, genetyki, religii, moralności, a każde z nich zasługuje na poważne omówienie w rzetelnej recenzji. I tu pojawia się kłopot recenzenta: co przedstawić Czytelnikowi „Res Humana” jako znak wyróżniający prezentowanego dzieła.



Zakładam, że publikacje tego periodyka interesują głównie ludzie o postawach laickich, zatem przyjrzyjmy się rozważaniom autora, dotyczących szeroko pojętej problematyki antropologiczno-światopoglądowej. Są one godne uwagi chociażby z tego względu, że wyrażają przekonania humanisty, zwolennika współczesnej teorii ewolucji.

Jaki jest człowiek, co odziedziczył po przodkach i jak się kształtował – oto ogólne pytanie, które w rozumieniu de Waala wymusza poszukiwanie odpowiedzi, jakże ważnej dla rozumienia nas samych, uwarunkowań naszej kultury, zasad współżycia z innymi i wielu innych kwestii. W przeszłości wypracowano dziesiątki teorii charakteryzujących istotę człowieka, niektóre z nich pozostają czystą grą wyobraźni. Naszego autora interesują jedynie te, które preferują lub uwzględniają ewolucyjny punkt widzenia.

Powyższe pytanie pojawiło się we wspomnianej wersji niemal bezpośrednio po ukazaniu się dzieła Karola Darwina. Thomas Huxley, twórca terminu „agnostyk” i gorący, aczkolwiek nie w pełni kompetentny, obrońca darwinowskiej teorii ewolucji uważał, że ewolucja jest ślepym procesem kosmicznym, a natura sama w sobie jest moralnie obojętna, amoralna. Przyroda nie ma zdolności wytwarzania dobra, a twierdzenie, że dzieci z natury rodzą się dobrymi, traktował jako iluzję liberałów (s. 57) Ład biologiczny i moralny są niezależne od siebie, a moralność, to według Huxleya cieniutka warstwa okrywająca zwierzęcą, egoistyczną istotę człowieka, narzucona mu z zewnątrz.

Tak w skrócie przedstawia się huxlejowska teoria fasady, która zyskała znaczny rozgłos i popularność, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, chociaż nie tylko tam. W rozmowach towarzyskich w Ojczyźnie często słyszałem stwierdzenia o powierzchowności zasad moralnych, o ich roli ozdobnej, „na pokaz”, mało znaczącej w procesie regulacji stosunków międzyludzkich.

W przekonaniu de Waala jest to pogląd fałszywy, o niepożądanych konsekwencjach społecznych. Fałszywy, bo: 1) wynikający z błędnej interpretacji myśli Darwina, który wyraźnie podkreślał, że zwierzęta czują, doznają emocji podobnych do tych, jakie my znamy z autopsji, 2) niezgodny ze współczesnym stanem wiedzy, wypaczający obraz świata. Z tych to powodów od kilkunastu lat de Waal ukazuje w swych publikacjach jego bezzasadność i szkodliwość społeczną.

A przedstawiony w recenzowanej pracy tok rozumowania przedstawia się następująco: jeżeli moralność nie jest wytworem ewolucji samych organizmów, a jedynie fasadą, płaszczykiem przykrywającym ich wrodzone cechy, to musi ona pochodzić ze źródeł wobec nich zewnętrznych. Za takie uznaje się nakazy boskie, objawienie bądź wytwory rozumu ludzkiego. Pierwsze

oddaje orientację religijną, zgodnie z którą przykazania moralne nie są wytworem człowieka, bowiem już w doskonałej formie otrzymano je z nadania Boga. Z Jego woli obowiązują one ludzi do dnia dzisiejszego.

Przeciw temu pogładowi przemawiają liczne argumenty. De Waal mocno ekspozuje w tym kontekście fakt wcześniejszego pojawienia się u naszych praprzodków moralności niż religii! Tak, to nie pomyłka! Moralność wyprzedzała religię! Przykazania religijne są jedynie werbalną kodyfikacją już istniejącej moralności, służące wsparciem jej nakazów i zakazów (s. 35, 139, 308). O takiej kolejności pojawienia się tych fenomenów świadczy występowanie poczucie winy i powściągnięć już we wczesnej fazie ewolucji, u małych człekokształtnych, a także niemal czysto moralna treść przykazań, oprócz pierwszego.

Drugie rozwiązanie, w przeszłości prezentowane przez myślicieli okresu Oświecenia, a w naszych czasach przez niektórych współczesnych naukowców, wyraża wiarę w siłę rozumu ludzkiego i zdolności poznawcze człowieka, pozwalające regulować relacje interpersonalne. Zgodnie z tak rozumianym źródłem moralności wielkie znaczenia przypisuje się naukowemu badaniu jej właściwości i funkcjonowania. Zdobyta wiedza miałaby umożliwić wdrażanie sensownych zasad moralnych, regulujących współżycie społeczne. Wysoki poziom nauki miałby gwarantować równie wysoki poziom moralności.

F. de Waal odrzuca również i ten tok myślenia. Nauka, powiada, działa *post factum*, wyjaśnia sposoby funkcjonowanie tego, co już istnieje, ułatwia rozumienie świata, ale go nie projektuje. Iluzją było przekonanie, że nauka określi różnice między dobrem i złem i przyczyni się do naprawy świata.

Zaznacza, że ten „naturalistyczny błąd” przyczynił się do powstania teorii rasizmu, eugeniki, praktyki sterylizacji upośledzonych umysłowo, przestępców, głuchych, ślepych, a także okrutnego prawa imigracyjnego w USA (s. 36–37). Stał się on przyczyną wielu cierpień i nieszczęść. Nauka przy tym nie docenia roli emocji, ładu serca. A te w przypadku moralności są czynnikami pierwszoplanowymi. Oceniamy czyny instynktownie (podświadomie), emocjonalnie, a dopiero po tym racjonalizujemy (s. 338–39).

Oba wymienione rozwiązania problemu są nie do przyjęcia, nie odpowiadają faktom rzeczywistości i przysparzają wiele kłopotów przy wyjaśnianiu niektórych procesów i zjawisk. **Jak zatem według prezentowanego autora przebiegał proces kształtowania się moralności ludzkiej? Jego zdaniem kształtowała się ona oddolnie, we wczesnej fazie rozwoju ewolucyjnego zwierząt stadnych, a także ludzi.**

* *

Zdaniem de Waala moralność funkcjonuje na dwu poziomach: pierwszy to poziom „sam na sam”, a drugi to „troski o społeczność”. Podstawowe zasady moralności sam na sam oddaje symbol dwu H, czyli pomagania (ang. *helping*) i nie krzywdzenia (*not hurting*). Tak funkcjonująca moralność nie zabrania korzyści własnych, a jednocześnie chroni dobra innych takie, jak zdrowie, życie, dobrostan. U jej podstaw znajdujemy empatię, zdolność współodczuwania z innym. Zdolność ta ujawnia się we wczesnych fazach życia, zarówno u szympanów, jak i u naszych dzieci, jest wrodzoną. Uzasadniając przedstawiony pogląd de Waal powołuje się na rezultaty przeprowadzanych eksperymentów i liczne obserwacje zachowań szympanów i bono w warunkach zbliżonych do naturalnych.

Moralność „troski o społeczność” jest bardziej skomplikowana niż typu „sam na sam”. Na tym poziomie „wznosi się” ona ponad „jest”, ponieważ uwzględnia to, co powinno być, czyli powinność. Chroni to, co jest pożądane lub niezbędne do bezkonfliktowego funkcjonowania grupy. Obliguje zwalczanie odstępstw od stanu, uznawanego za normalny.

Czy poczucie powinności występuje u człekokształtnych? Dla zwolenników teorii ewolucji jest to pytanie kluczowe. Odpowiedź na „tak” wyklucza koncepcję skrajnego egoizmu, walki „wszystkich przeciwko wszystkim”, pozwala uznać altruizm i zachowania na rzecz dobra grupy

za wczesny wytwór ewolucji zwierząt stadnych. **F. De Waal opisuje różne formy altruistycznych zachowań szimpansów, a także omawia wyniki eksperymentów, potwierdzających tezę o silnym utrwalonym poczuciu norm stadnych u naczelnych i człowieka.**

Oto ilustracja powyższej tezy: dwaj samce przebywają w pobliżu samicy w stanie rui, ale żaden nie próbuje z nią kopolować. Gdyby jeden z nich podjął taką próbę, natychmiast zostałby zaatakowany przez drugiego, co z kolei wywołało by napięcie w ich grupie. Oba powstrzymują się od takiego zachowania ze względu na zachowanie ładu w grupie (s. 317). Podobny sposób bycia, tzn. obopólną rezygnację, zaobserwowano w przypadku niemożności podzielenia pokarmu.

Wielką zaletą pracy de Waala jest przedstawienie we właściwym świetle wpływu genów na zachowanie organizmów żywych, a zwłaszcza człowieka. Odrzuca on pogląd, że geny bezpośrednio, jednoznacznie determinują zachowanie, uznaje rolę czynników pośrednich, takich jak wymogi sytuacji, nawyki, a u człowieka – świadome wybory. Sformułowania typu „gen nakazuje”, „geny wyznaczają” świadczą o powrocie do pomysłu o istnieniu bytu w rodzaju homonkulusa.

Na zakończenie prezentacji myśli de Waala o ewolucji – parę uwag krytycznych. Wydawało się, że w zoopsychologii metoda anegdotyczna, tzn. przypisywanie zwierzętom cech psychicznych na podstawie przypadkowych obserwacji podróżników, leśników, misjonarzy itd., stosowana przez G.J. Romanesa, została skutecznie przezwyciężona. Tymczasem de Waal korzysta z niej, wprawdzie odwołując się od spostrzeżeń jedynie naukowców, niemniej spostrzeżeń przypadkowych, nie weryfikowanych w trakcie dłuższych obserwacji. Ten sposób przedstawiania problematyki nadaje wprawdzie barwności opowieści, ale podważa jej wiarygodność.

Druga uwaga dotyczy innego aspektu metodologii. Nie podważono, jak dotychczas, kanonu Morgana zakazującego opisywanie i interpretowanie zachowań zwierząt w kategoriach wyższych zdolności, jeżeli można je opisać w terminach niższych zdolności. Nie należy np. przedstawiać, jako uwarunkowanych świadomością, takich zachowań, które da się wyjaśnić operując pojęciem odruchu.



Ważnym problemem omawianym przez de Waala jest relacja nauka-religia. Uczony ten przestrzega przed formułowaniem sądów uproszczonych, dogmatycznych, przynoszących więcej szkód niż pożytku. W rzeczywistości obie dziedziny przenikają się wzajemnie, nakładają na siebie i toczą między sobą spory poznawcze i światopoglądowe. Oceny charakteru tych relacji zależą od tego, który aspekt ma się na uwadze.

W sensie historycznym religię obciążają poważne błędy. Często przypomina się nam okrucieństwa wojen religijnych i kolonializmu. De Waal swój stosunek do tego problemu wyraził jednym eleganckim zdaniem: „Kolumb pragnął złota równie mocno, jak kochał Boga” (s. 298) Zło wynikało ze skłonności człowieka, a pretekstem do działań krzywdzących innych bywała zarówno religia, jak i ateizm, a także i żądza bogactw, władzy.

Religia hamowała, zwłaszcza w okresie reformacji, rozwój nauki. Ale, powiada nasz autor, były też okresy, kiedy wyraźnie wspierała rozwój nauki. Świadczy o tym podpis legata papieża na dokumencie stwierdzającym nadanie Uniwersytetowi w Oxfordzie karty praw, a studenci paryscy, z kolei, na początku istnienia uczelni, golili sobie tonsury w podzięce Kościołowi za opiekę nad nimi i uczelnią (s. 135).

Obie dziedziny w niektórych obszarach uzupełniają, w innych konkurują. **Relacje wzajemne tych dziedzin układały się rozmaicie, od konfliktów, szacunku wzajemnego poprzez patronat Kościoła nad nauką. Błędem jest traktowanie ich na zasadzie układu zerojedynkowego. Pożądanym rozwiązaniem pozostaje, natomiast, wzajemny szacunek i tolerancja oraz nadzieja na dalsze korzystne zmiany na rzecz humanizmu (s. 330).**

Jednak współczesna nauka i religia, utrzymuje de Waal, nie dają się pogodzić w sferze poznawczej. Na tym gruncie pozostają nawet w jawnej sprzeczności. Nauka bardziej wiarygodnie kreśli obraz świata, ponieważ dysponuje skuteczniejszymi metodami poznawania fizycznej rzeczywistości, rzetelnymi sposobami weryfikacji rezultatów badań. We współczesnym świecie stworzono system badań naukowych, obowiązują w nim surowe reguły dochodzenia do prawdy o faktach, występuje wzajemna kontrola i rywalizacja naukowców i ośrodków naukowych. Idee w nauce mają charakter dynamiczny, podlegają stałej modyfikacji i coraz to bardziej precyzyjnemu przedstawianiu (s. 147-8). Pod tym względem zdecydowanie przeważa ona nad religią, która odwołuje się do indywidualnych doznań, mistycznych uniesień nie weryfikowalnych w sposób wiarygodny, jest przy tym statyczną. Oczywiście, w nauce, podobnie jak w religii, trafiają się odstępstwa od obowiązujących standardów i nadużycie statusu. Nie podważa to jednak ogólnej oceny porównawczej obu dziedzin ludzkiej świadomości.

Religia, w przekonaniu de Waala, bardziej niż nauka sprzyja naszym oczekiwaniom egzystencjalnym. Uczestnictwo w życiu wspólnoty religijnej odgrywa niezmiernie ważną rolę. Przyczynia się do poczucia bezpieczeństwa, niweluje napięcia stresu, pociesza zmartwionych, wzmacnia układ odpornościowy, sprzyja zdrowiu (s. 280). Ludzie uczestniczący w ceremoniach, obrzędach śpiewach religijnych żyją, statystycznie rzecz biorąc, dłużej, niż samotnicy.

Powyższy fragment nie świadczy o gloryfikowaniu religii, bowiem de Waal zaznacza, że te same korzyści odnoszą ludzie głęboko zaangażowani w życie organizacji świeckich, takich jak np. miłośnicy książki lub towarzystwa obserwatorów ptaków. Zapewne to więź społeczna, czynnik występujący zarówno w ramach kontaktów religijnych, jak i świeckich, oddziałując korzystnie na ich uczestników (s. 280). Jest to ważna wskazówka dotycząca tego, jak należy dochodzić prawdy - trzeba poszukiwać istoty rzeczy, a nie poprzestawać na oslepiającym blasku pozorów.

Niekiedy przypisuje się religii unikatową „zdolność” wzbudzania wzniosłych przeżyć emocjonalnych, ekstazy, a także doznań typu „wychodzenia poza ciało” (życie po życiu). Fakty te wielu wierzącym wydają się twardym dowodem istnienia duszy jako bytu niezależnego od ciała. Czeka ich jednak przykre rozczarowanie, gdyż de Waal opisuje eksperymenty, w efekcie których wywołuje się wspomniane stany psychiczne pobudzając prądem odpowiednie partie mózgu (s. 136).

W przeszłości podniosłe stany religijno-emocjonalne wywoływano poprzez spożycie alkoholu. W Biblii Króla Jakuba alkohol wymienia się aż 261 razy (s. 279), a w żydowskiej modlitwie kiduszu chwali się boga, twórcę winorośli. W Grecji, w dniach święta Dionizosa, boga wina i winnic, uniesienie religijne wywoływano dzięki upojeniu alkoholowemu. A i dzisiaj wino symbolizuje krew Jezusa. Niełatwo, jak widać, uwolnić ducha od wpływu materii.



Kolejna kwestia, omawiana z różnych punktów widzenia, to jakość sporu obrońców religii i ateistów. F. De Waal nie aprobuje takich sporów, w których strony nie przedstawiają dobrze zdefiniowanego przedmiotu zainteresowania. Sprowadzają się one jedynie do wzajemnego oskarżania, dogmatycznego zaciętrzewienia. Religia, której przypisuje się wiele negatywnych cech, nie jest monolitem. W świecie występuje wiele jej odmian, a każda z nich tworzy zróżnicowaną strukturę wewnętrzną. Krytyka, aby była wartościowa, musi precyzyjnie przedstawiać to, czego nie aprobuje.

Z kolei ateizm nie może sprowadzać się do prostego odrzucenia idei Boga. Praktyka tego typu, realizowana w byłym Związku Radzieckim i innych krajach, a utrzymująca przy tym wiele form obrzędowości religijnej, takich jak kult pomników, przyrzeczenia, uroczyste akademie i inne, tworzy świecką religię i nie eliminuje postaw o cechach religijnych. One są nazbyt mocno utrwalone w wielu dziedzinach życia, w języku, sztuce, architekturze, obyczajach itd.

Pamiętać przy tym należy, że treści wierzeń są łatwo przyswajalne, dostępne mentalności dziecięcej. Czynności Boga są podobne do tych, które wykonują rodzice. Oni coś robią, są sprawcami, za coś karzą lub nagradzają. I tak jest odwiecznie. Natomiast nauka i jej laickie przedstawienie obrazu i zależności w świecie są względnie młode, a nawet w niektórych społecznościach nie są jeszcze znane. To działa na rzecz trwałości myślenia religijnego.

Postęp laicyzacji, tak wyraźnie widoczny w krajach Europy Zachodniej i Północnej, dokonuje się dzięki świeckiemu szkolnictwu, a także przejmowaniu przez instytucje świeckie, głównie państwo, opieki nad ludźmi starymi, schorowanymi, bezradnymi. W przeszłości była to domeną aktywności Kościołów. Państwo je wyparło, bo zapewniło usługi na wyższym poziomie. Efekt jest taki, że dzieci w miastach Zachodu pytają o to, dlaczego na wieżyczkach niektórych budowli są znaki plusa (s. 310)!

Oto, na zakończenie tych refleksji, deklaracja de Waala: „**Jak najbardziej popieram zredukowanie roli religii, ograniczając podkreślanie «wszechroli» wszechmogącego Boga, wyraźniej akcentując natomiast ludzkie możliwości. Nie jest to, oczywiście, nic nowego: to cele humanizmu**” (s. 329).

Nic ująć, nic dodać do tych mądrych rad uczonego.

Autor tekstu jest profesorem psychologii, długoletnim nauczycielem UMCS w Lublinie.

Małgorzata B. JAKUBIAK

Wacław W. Worowski: polski intelektualista w służbie dwóch narodów

Wacław W. Worowski, pochodzący z polskiej rodziny szlacheckiej, lecz urodzony w 1871 r. i wychowany w Rosji, i którego dziadek był polskim powstańcem roku 1863, jest w naszym kraju postacią nieomal zupełnie nie znaną. A przecież jego spuścizna literacka, powstała w niespokojnych latach przełomu XIX i XX wieku, jest interesująca i oryginalna, a burzliwe koleje jego losu i jego działalność zasługują choćby na poniższy krótki szkic.

Był przede wszystkim publicystą, podejmującym najważniejsze kwestie społeczne i polityczne swojego czasu, ale także krytykiem literackim i teatralnym, oraz dyplomatą, często podróżującym między Rosją a Włochami, Szwecją, Szwajcarią i Francją. Napisał ponad 500 artykułów, 10 książek i broszur. Był również teoretykiem sztuki,

który stworzył własną filozofię sztuki, własną estetykę, aczkolwiek nie poświęcił tym zagadnieniom odrębnych dzieł; wszystkie jego poglądy w tym zakresie przedstawione są w jego artykułach krytyczno-literackich.

Był człowiekiem wszechstronnie wykształconym i utalentowanym, o szerokich horyzontach umysłowych. Znał 6 języków europejskich, a także filozofię, historię, prawo, nauki społeczne oraz nauki przyrodnicze. Chociaż jego teksty pisane były prawie zawsze w związku z ówczesnymi wydarzeniami literackimi, społecznymi i politycznymi, zawsze nawiązujące do rzeczywistości, która go otaczała, to zarazem fakty jednostkowe były dla niego podstawą do rozmyślań szerszych i bardziej ogólnych, przekraczających swój czas.

W uznaniu kunsztu publicystyki Worowskiego ustanowiono w 1951 r. międzynarodową nagrodę jego imienia.

W domu Worowskich panował duch patriotyczny: dziadek, uczestnik powstania w 1863 roku, często powracał wspomnieniami do tamtych zdarzeń, do bitew warszawskich, do zesłań na Syberię. Podczas studiów na wydziale fizyczno-matematycznym uniwersytetu, a potem na politechnice student Wacław Worowski zaczął działać w organizacji „Koło Polskie”, będącym jednym z wielu ziomkostw (ziemlacztw) zakładanych w tamtych czasach w Rosji przez studentów zgodnie z ich pochodzeniem narodowościowym. „Koło Polskie” uchodziło za jedno z najbardziej radykalnych; bliskie było ideom ówczesnej socjaldemokracji. Wkrótce też zaczęły się jego pierwsze konflikty z władzami. W 1896 roku został zesłany przez władze z Moskwy do Wołogdy (powodem była koronacja Mikołaja I na cara Rosji na czas której, ze strachu przed zamieszkami, pozbywano się ze stolicy wszelkich „niebłagonadiożnych”), a rok później Worowski trafił do więzienia na Tagance, gdzie spędził ponad półtora roku (1897-1899), a następnie, ciężko chorego, zesłano do Guberni Wiatskiej. Ale listy, które stamtąd pisał świadczyły o dostrzeganiu przez ich autora dobrych stron tej przymusowej sytuacji. „Nie mogę narzekać; miałem możliwość skupienia się, zagłębienia się w nauki, przeczytałem bardzo dużo i z wielkim pożytkiem dla siebie”. Po zakończeniu okresu zesłania Wacław Worowski zniknął z pola widzenia policji – wyjechał do Genewy. Był jednym z kierujących pracami przygotowawczymi III zjazdu RSDRP.

W kolejnych latach łączył pracę pisarską z działalnością polityczną i dyplomatyczną. Po roku 1917 powierzono mu poselstwo w krajach skandynawskich. Ale w okresie blokady Rosji wrócił do Moskwy. W roku 1918 brał udział w rozmowach dyplomatycznych z Finlandią, potem, w 1920 roku w rozmowach z Estonią, które zakończyły się podpisaniem umowy pokojowej. W 1921 roku z kolei objął poselstwo we Włoszech. W 1923 roku odbywały się międzynarodowe konferencje w Genewie i Lozannie, zwołane przez kraje Ententy. W czasie trwania konferencji w Lozannie, Wacław Worowski został zabity (maj 1923 r.) w lozańskim hotelu „Cecil”, strzałem oddanym w tył głowy z odległości trzech

metrów przez Moritza Conradi, byłego oficera wranłowskiego. Zabójca został schwytany i osądzony przez sąd szwajcarski.

Młodość Wacława Worowskiego zbiegła się z okresem narastających sprzeciwów wobec caratu rosyjskiego. Uległ on tym nastrojom bardzo wcześnie, jeszcze będąc w gimnazjum, co w jakiejś mierze było z pewnością konsekwencją patriotyczno-powstańczej tradycji i klimatów jego domu rodzinnego. Czytywał więc „zbuntowaną” literaturę i pisał wiersze, dalekie wprawdzie od poetyckiej doskonałości, ale ostro wyśmiewające rygorystyczny i duchową martwość szkoły w ówczesnym imperium carskim. **Te same pobudki sprawiły, że jako młody patriota polski przystąpił do studenckiego „Koła Polskiego” na uniwersytecie.**

Stopniowo, droga protestu wobec istniejącego status quo zaprowadziła go w stronę inteligencji rewolucyjnej, czyniąc zeń człowieka, który żyjąc wszystkimi sprawami swoich burzliwych czasów wszedł w samo serce sporów o kształt i sens nowej rzeczywistości.

Jednakże, jego prawdziwą pasją – o czym wspominał niejednokrotnie – było pisanie. I znamienym jest fakt, że jego pierwszym artykułem, pierwszą publikacją w prasie, a na dodatek napisaną na zesłaniu, była praca krytyczno-literacka. **Potem, jego kolejne felietony, analizy krytyczne, artykuły na tematy społeczno-kulturalne zapełniały stronicie bardzo wielu czasopism wydawanych na początku wieku XX w Moskwie, Petersburgu, Odessie.** Nie ma sensu dociekać, co było głównym nurtem w życiu Wacława Worowskiego – czy był przede wszystkim człowiekiem pióra, czy człowiekiem czynu. On sam, w liście napisanym w 1923 roku, a więc niedługo przed swoją śmiercią, w tonie wielce żartobliwym napisał: „Niewdzięczna potomność gotowa jest zachować mnie w pamięci jako wielkiego dyplomate, podczas kiedy ja sam uważałem siebie za publicystę”. Zresztą, jeśli przyjąć za Tadeuszem Kotarbińskim – prakseologiem, że reakcja słowna jest formą czynu, to trzeba powiedzieć, że Worowski intensywnie działał za pomocą tego środka. Jego pisarstwo bowiem było mocno związane z rzeczywistością tamtych czasów.

Czas historycznej burzy przełomu XIX i XX był dla Rosji czasem upadku starych wartości i tworzenia się nowych. Kontro-

wersje dotyczyły nie tylko zagadnień politycznych, ale także zagadnień dotyczących kultury. Wahaniom i wątpliwościom podlegało wielu twórców, próbujących znaleźć swoją drogę w całej masie sprzecznych drogowskazów. Łatwo ich osądzać dziś, z perspektywy długiego czasu, ale żeby to zrobić rozumnie, trzeba zrozumieć tamten kraj i tamte czasy, przyczyny i zdarzenia, które doprowadziły do tamtych wydarzeń. Jak powiedział Goethe (West-Dethlicher Divan): „Werden Dichter will verstehen muss in Dichters Lande gehen” – czyli kto chce zrozumieć poetę musi poznać jego kraj. Tak więc, specyficznie trudnym zadaniem była w tamtych czasach rola krytyka literackiego, gdy co i rusz zachodziły istotne zmiany, a grupy twórcze i programy artystyczne powstawały jak grzyby po deszczu. Był to przecież okres, gdy panujący dotąd realizm w sztuce był wypierany przez prądy modernistyczne, przez futurizm, kubizm, symbolizm, ale także, w Rosji, przez Proletkult, przez trockizm. Faktem jest, że najbardziej ostre dyskusje na temat sztuki toczyły się w Rosji w latach dwudziestych, a więc tuż przed śmiercią i po śmierci Wacława Worowskiego, ale ich podstawy tworzyły się znacznie wcześniej.

Jednym z naczelných problémów tamtych lat, problemów związanych ze sztuką, było zagadnienie i znaczenie roli tradycji. Worowski bronił dziedzictwa przeszłości, choć był zarazem otwarty na wszystko co wyznaczało nadchodzący nowy czas. Występował jako obrońca literatury minionych lat. Właśnie w okresie najsilniejszych ataków na nią powstały jego artykuły poświęcone twórczości Tołstoja, Turgieniewa, Bielińskiego oraz Czernyszewskiego, a także wielu pisarzy zachodnich. Prawdą jest, że modernistów niekiedy oceniał ostro. Z perspektywy czasu widać, że modernizm nie wyrugował sztuki lat wcześniejszych, zajął tylko swoje miejsce w swoim czasie.

Wacław Worowski sporo pisał o literaturze polskiej, przyczyniając się do jej upowszechnienia w Rosji. Jest autorem artykułów o Zygmuncie Krasińskim, Bolesławie Prusie, Ignacym Kraszewskim, Stanisławie Przybyszewskim. Napisał też sporo recenzji z występów teatrów polskich w miastach rosyjskich.

Był to czas przewartościowań, ścierających się i sprzecznych trendów, ideologii, zapatrywań,

których przedstawiciele toczyli dyskusje, spory, polemiki. Wacława Worowskiego, spośród tych wszystkich ścierających się ugrupowań reprezentujących ówczesne trendy, ideologie, tendencje cechowała duża niezależność sądów i zapatrywań na różne kwestie; nie zgadzał się nawet z wieloma poglądami inteligencji rewolucyjnej, do której wszak sam należał, mając na rozmaite kwestie własne, indywidualne spojrzenie.

Jednym z takich spornych zagadnień było coś, co określano mianem „kultury proletariackiej i co usilnie starano się stworzyć bądź też odnaleźć w twórczości już istniejącej – zdaniem Wacława Worowskiego – nieco na siłę.

Ze sporem powyższym ściśle związany jest spór o pisarza, Maksyma Gorkiego. To właśnie, m.in. w analizie krytycznej powieści „Matka” Worowski wyraził wspomniane poglądy o kulturze mas pracujących. Na temat Gorkiego, na temat jego powieści i opowiadań toczyły się dyskusje i spory, a każde z ugrupowań społeczno-artystycznych rysowało wizerunek tego pisarza zgodnie z własnymi potrzebami.

W latach późniejszych, których Worowski już nie dożył, a w których ukształtowane już były pewne obowiązujące poglądy na temat zarówno kultury proletariackiej jak i osoby i pisarstwa M. Gorkiego, bardzo długo zarzucano Worowskiemu „błędność” jego sądów na ten temat.

Mysząc nad dziejami i losem tej postaci przychodzi myśl, że Worowskiemu, który we wspomnieniach znających go osób jawił się człowiekiem wysoce etycznym, o szlachetnych pobudkach postępowania, o zrównoważonych osądach trudno byłoby – być może? – odnaleźć się w późniejszych latach porewolucyjnych, gdy zaczęły pojawiać się groźne wynaturzenia ideologiczne i polityczne.

Faktem pozostaje to, że dane mu było doczekać, po upadku caratu, odrodzenia wolnej Polski.

Literatura:

- I. Kramow, *Literaturnyje portrety*, Moskwa, 1962.
- W. Worowskij, *Estetika, Literatura, Iskusstwo*, Moskwa 1975.
- A. K. Bielikow, *Wacław Wacławowicz Worowskij*, Moskwa 1971.
- J. Ganeckij, *W. W. Worowskij, Biograficzeskij очерk*, Moskwa 1925.
- Wl. Boncz-Brujewicz. *Na sławnom postu*, Moskwa 1925.
- „Chronos” – (<http://hrono.ru/biograf/vorovski vv.php>).

Wacław WOROWSKI

Czytelnik i pisarz

Kiedy pojawia się nowa gazeta, chce tego czy nie chce, musi zacząć od zaprezentowania swojego credo: w to a to wierzę, do tego i tamtego będę dążyć, temu a tamtemu będę służyć. Jest to tym bardziej konieczne, że reputacja gazet w ogóle, a gazet lokalnych w szczególności jest mocno zszargana, zwłaszcza w naszej sprzedajnej Odessie. Przy okazji pojawienia się każdej nowej gazety mimo woli pytasz przede wszystkim nie o to komu będzie służyć, a kogo będzie sprzedawać.

Komu będziemy służyć, czyich interesów bronić – to okaże się już w toku naszej pracy, a w charakterze credo literackiego wypowiemy się tylko na temat jednego zagadnienia: stosunku między czytelnikiem i pisarzem. I to, jak sądzimy, wystarczy.

Każdy czytelnik, szczególnie jeśli należy on do warstwy społecznej zdolnej do rozwoju, i jeśli on sam, być może, zdolny jest do rozwoju, ma w sobie jakby dwie dusze. Jedna jego dusza trwa w stanie stagnacji, pragnie zadowalać się tym, co jest, potakiwać istniejącym przyzwyczajeniom i przesądom, zachwycać się swoimi wadami (które zdają się mu być zaletami) i w ogóle pragnie pozostać w „pierwotnym stanie”. To dusza mieszczańska – drobiazgową, leniwą, zabobonna i przyziemną. Ale jest i druga dusza, która odrzuca tę pierwszą duszę, walczy z nią, stara się uwolnić od jej przywar. Ta druga dusza rwie się naprzód, szuka szerokich horyzontów, stara się zrzucić z siebie szmaty mieszczańskiego samozadowolenia, pragnie myśli swobodnej, pragnie działać i żyć.

W walce pomiędzy tymi dwoma pierwiastkami – marazmem starego i rozwojem nowego, świeżego, energicznego – przebiega tak zwany rozwój.

Jakież w takim razie zadania ma pisarz w obliczu tej wewnętrznej walki człowieka? Jasne, że pisarz prawy, traktujący swoją pracę jak zadanie społeczne, a nie jak sposób na opróżnienie kieszeni bliźniego, będzie starał się ze wszystkich sił sprzyjać rozwojowi nowych, lepszych dążeń duszy ludzkiej. Przynajmniej, to powinno być jasne. **A tymczasem obserwuje się dziwne zjawisko. Prasa wartościowa, o walorach wychowawczych, niosąca ze sobą jakieś idee – marnieje, ginie, dosłownie brakuje jej powietrza; prasa brukowa, sensacyjna – kwitnie.**

To dziwne zjawisko tłumaczy się tym, że właśnie stara, skostniała, zacofana dusza w człowieku jest jeszcze całkiem żywotna. Wszak jest bardzo przyjemnie dla człowieka nierozwiniętego przebywać w takim stanie skostnienia, nie kiwając palcem żeby dźwignąć samego siebie z grzęzawiska, nie trując ani głowy ani rąk, żeby chociaż trochę uczłowieczyć swoje oblicze. Odrodzenie, rozwój, podniesienie się na wyższy poziom moralny wymaga pracy, wyteżenia sił, wytrwałej pracy nad samym sobą. Przyziemna, mieszczańska egzystencja żadnego wyteżenia się nie potrzebuje: żyj sobie z dnia na dzień, siedź sobie w bagnie, jak ojcowie i dzieci siedzieli i o niczym nie myśl. Prosto i wygodnie.

I w tym samym czasie, kiedy dobra, wartościowa prasa wychodzi ze skóry, żeby podnieść na wyższy poziom człowieka i uszlachetnić go, nawet wbrew jego woli – prasa brukowa, której obce są wszelkie wyższe pobudki, stara się zabić w nim żywą, nową duszę i schlebiać jego pospolitym upodobaniom i przyziemnym skłonnościom. Bowiem tylko przy ciemnym, niewyrobionym czytelniku może istnieć taka prasa, tylko dzięki jego i zacofaniu można robić pieniądze podrzucając mu odpady i wszelkie draństwo w charakterze strawy duchowej. (podkr. MBJ)

I siedzi czytelnik w zaklętym kręgu. Jego poziom rozwoju nie pozwala mu ocenić jaką trucizną jest zatruty, a ciągły stan zatrucia tym jadem nie pozwala mu przejrzeć na oczy i wrzucić tę brukową literaturę tam, gdzie jej miejsce, na śmietnik.

I cóż może wyrwać czytelnika z tego fatalnego? Czyż on sam się nie przebudzi? Czyż potrzebny jest do tego grom z nieba?

* Tekst opublikowany po raz pierwszy w gazecie odesskiej „Czernomoriec” w 1911 roku, bez podpisu. W 1975 roku został włączony do zbioru utworów W. Worowskiego zatytułowanego: Estetyka. Literatura. Sztuka, sporządzonego i wstępem zapozatrzonego przez O. Siemionowskiego i I. Czernouca i wydane przez wydawnictwo SZTUKA, 1975.

Stanisław FRAN CZAK

JULIAN KAWALEC

– kronikarz naszych dziejów

Żył w przełomowych czasach, które skrętnie opisywał. Urodził się w 1916 roku we Wrzawach – wsi „zabitej deskami” – położonej w widłach Sanu w rodzinie, która żyła ze splachetka ziemi. Dzięki uporowi matki, która posłała go, nie bez wyrzeczeń, do gimnazjum, udało mu się wyrwać ze wsi, gdzie pozostawali jego ziomkowie „przypisani do ziemi”. Potem opisze swą drogę do nauki, gdy szedł boso z węzełkiem na ramieniu i drewnianym kuferkiem w parcianych portkach z matką do szkoły w mieście. Po drodze minęła ich karetka, w której siedziała piękna, młoda pani w kapeluszu i obrzuciła go z góry pogardliwym spojrzeniem. Nigdy nie zapomniał tego upokorzenia.

Ale upór i wiara matki w zdolności syna zdecydowały o jego sukcesie. Jeszcze przed wojną ukończył szkołę średnią, choć już maturę zdawał na tajnych kompletach. W tym czasie był już w partyzantce w miejscowych Batalionach Chłopskich, na czym ucierpiała jego rodzina, która musiała ukrywać się przed Niemcami. Matka torturowana i bita cudem przeżyła, ale syna nie wydała. Julian zgłosił się do Polskiej Agencji Prasowej i został korespondentem wojennym.

Kiedy po latach otrząśnie się z okropieństw wojny napisze bo dopiero w roku 1989 książkę *W gąszczu bram* o wyzwoleniu Gdańska. Wspominam o tym, bo współcześni biografowie często pomijają ów „epizod” w życiu Kawalca, którego zaszufładowano raz na zawsze jako pisarza „wiejskiego nurtu”. Taką etykietkę przypisał mu pierwszy Bereza, a za nim inni. Tymczasem Kawalec, który stworzył powieść realistyczną wsi znakomicie ujmującą rzeczywistość chłopską oraz przemiany społeczno-polityczne – zamknął ten etap twórczości w latach osiemdziesiątych. Zresztą jego twórczość z tego okresu jest powszechnie znana i opisana, gorzej jest z jego dokonaniem z ostatniego 20. wieku, w którym Kawalec stał się już niemodny. Dziwne, czy noblista Reymont też jest niemodny i nikt już nie czyta jego *Chłopów*, albo innych klasyków? A Julian Kawalec jest już klasykiem i co ważne – przypomina młodemu pokoleniu skąd jego korzenie. Jeśli pamięć o rodzimej historii i pochodzeniu zaniknie, przestaniemy jako zbiorowość istnieć i być narodem.

Kawalec w nowych powieściach zwraca się ku wspólnej tematyce. Pisze m.in. poetycką opowieść *Gitara z rajskiej czereśni* (1990), tworzy wiersze, do których wraca od czasów przedwojennych i wydaje szereg tomików. Wreszcie pisze opowiadania *Powrót z nieba* czy też *Czerwonym szlakiem na Turbacz*, w których opisuje m.in. transformację społeczno-ustrojową przełomu lat 80. i 90. Opisuje tworzącą się nową klasę społeczną, biznesmenów i posiadaczy oraz rosnącą nędzę i biedę ludzi bez pracy. Opisuje „niezasłużone bogactwo i pychę Kościoła; biskupa ubranego w „kapiące od złota” szaty liturgiczne idącego na czele procesji drogą, gdzie pozasłaniano nędzne rudery i zabroniono obdartym dzieciom stać na drodze przemarszu. Ostro piętnuje fałsz oraz obłudę i współczuje biednym. Jest w tych książkach moralistą, dostrzega w ludziach pokłady dobra i wiary, że ono musi zwyciężyć. Świat i człowiek, według niego, podlegają prawom natury, stąd też jedynym ocaleniem jest szacunek dla „chlebobójnej matki ziemi” i praw ekologicznych. Rozmawia z przyrodą jak w *Harfie Gorców* i w *Czerwonym szlakiem na Turbacz*. Zbliża się w swych poglądach ku egzystencjalizmowi, godzi się ze starością i śmiercią o czym pisze w

swych opowiadaniach, dlatego przeżywa ze spokojem śmierć swej małżonki i przyjaciół. Umiera w wieku 98 lat w Domu Spokojnej Starości „U Helclów” w nocy z uśmiechem na ustach. Kawalec był kronikarzem przemian, ale także, co jest bardzo istotne, ich mądrym komentatorem.

We wczesnych powieściach maluje obraz wsi przedwojennej, jej nędzę i brak wszelkich perspektyw, przypisanie chłopu do ziemi, na której miedza staje się powodem sporów. Postawa chłopska wynika z biedy i walki o każdą piędź ziemi, która musi wyżywić całą rodzinę. Powojenne przemiany społeczne dają chłopu szansę awansu, nagle otwierają się przed nim nowe możliwości. Reforma rolna, do której podchodzi nieufnie, przynosi mu godność gospodarza, elektryfikacja jest spełnieniem marzeń o lepszym „jasnym” życiu, walka z analfabetyzmem daje możliwość przeczytania gazety, a przede wszystkim emigracja do miast umożliwia pracę dla biedoty wiejskiej. Rodzi się nowa klasa społeczna chłopu-robotników, która zmienia dawne środowisko robotnicze i dawną wieś. Kawalec, co należy podkreślić z naciskiem, a czego nie robi współczesna krytyka literacka – jest pisarzem wywodzącym się ze środowiska wiejskiego, które znał z autopsji, wychował się w nim i rozumiał wszelkie jego pragnienia. Nie tak jak u innych wielkich pisarzy, poczynając od Konopnickiej i Orzeszkowej, dla których wieś jest widokówką, a ich narrator widzi ją niejako „z boku”. Dla nich chłopci to byli „tamci”, byli ci z dwora i tamci ze wsi, dla Kawalca nie było już tych barier, on był z samego środka, z nich. Drugi etap przemian, o którym już wspominałem to była transformacja ustrojowa, zmiany, o których Kawalec pisze dostrzegając wszelkie zagrożenia i komentując je wnikliwie. Oddzielnym etapem dla niego była wojna i przeżycia związane z uczestnictwem w walkach o Pomorze i Gdańsk. Wreszcie nurt „ekologiczny”, któremu Kawalec poświęcił ostatnie swe powieści stanowi podsumowanie całości jego dorobku.

Julian Kawalec pozostaje twórcą uniwersalnym, kronikarzem wielkich przemian społecznych, do końca uczestniczącym w życiu współczesnych przeobrażeń.

Był tłumaczony na 25 języków obcych, jest szeroko znany na kontynencie iber amerykańskim, ale u nas w kraju na początku lat 90. wycofano go z lektur szkolnych, jakby nagle problematyka, o której pisze, zagrażała

Dokończenie na IV s. okł.

Dokończenie ze s. 17

JAK BRONIĆ ŚWIECKOŚCI PAŃSTWA?

Profesor Magdalena ŚRODA

że pewne zawody nie mają jasnego i radykalnego podziału na sferę tego co prywatne i co publiczne. Wizerunek prywatny w pewnych zawodach jest istotny dla aksjologicznych wartości wykonywanych zawodów w części publicznej itd. Powiedzenie w Polsce, że etyka jest różnorodna, że można ją kawałkować, że inna jest w domu, że inna jest w świecie publicznym, że inna nieco obowiązuje polityków a inna nieco lekarzy jest oczywiście stwierdzeniem relatywizmu a relatywizm jak wiadomo to jest subiektywizm, to jest nihilizm, a nihilizm to jest piekło. Tak nas uczył Jan Paweł II i niestety to przekonanie pokutuje cały czas, chociaż wszędzie na świecie ci, którzy traktują etykę jako przedmiot wiedzy, mają świadomość tego, że ona jest różnorodna. I byłoby niedobrze, gdybyśmy pozostali w obrębie samej etyki katolickiej, albo uznali za bezdyskusyjne przekonanie Jan Paweł II, że należy zawiesić bardzo wysoko poprzeczki dla pewnych wymagań moralnych, dotyczących zwłaszcza etyki seksualnej i wszystko będzie załatwione. Otóż poprzeczki wymagań, które stawia Kościół i której sam nie jest często w stanie sprostać, są w Polsce zawieszane tak wysoko, że nie tylko nikt do nich nie dosięga, ale nikt już ich nawet nie widzi. Stąd etyka jest zredukowana do pójścia raz na tydzień do Kościoła i wymienienia sobie znaku życzliwości, ale kiedy już wracamy z tego kościoła, to sąsiadowi życzliwości niekoniecznie okazujemy.

Mój wniosek jest taki, etyki można się nauczyć, trzeba się uczyć, etyka jest wiedzą i potraktujmy ją z dostojnością na jakie zasługuje.

FORUM

FILOZOFICZNO-LITERACKIE

Maria SZYSZKOWSKA

Okiem filozofa

Poprawiać albo likwidować

Każdy system ekonomiczny, polityczny, społeczny należy udoskonalać. Narastające niezadowolenie jednostek może jednak przybrać tak wielkie rozmiary, że dochodzi do zaprzeczenia podstaw dotychczasowego ustroju. Zrywy rewolucyjne przeprowadzane w imię sprawiedliwości są tego wyrazem. Wystarczy wspomnieć Wielką Rewolucję Francuską 1789 roku, Rewolucję 1917 roku w Rosji, czy bezkrwawy przewrót dokonany przez Gandhiego. Pragnąc stabilności, aktualna propaganda polityczna obrzydza socjalizm, a wadliwie edukowane społeczeństwo zapomina, bądź nie wie, że odmian socjalizmu jest wiele. Tej krytyce towarzyszy stawianie pomników twórcy Polskiej Partii Socjalistycznej Józefowi Piłsudskiemu. Umacnia pogląd o słuszności liberalizmu ekonomicznego i jego trwałości także nasza lewica parlamentarna.

Wydarzeniem na tym tle jest rozprawa Ewy Gołębiowskiej *Pranie pieniędzy*. Podjęte zostały w niej aspekty etyczne w systemie przeciwdziałania „praniu pieniędzy”. Naukowe rozważania i nowe ustalenia wprowadzone do wiedzy przez tę Uczoną, korespondują z rosnącym niezadowoleniem społeczeństwa. Dr Gołębiowska podjęła aktualny problem. Występuje on w gospodarce neoliberalizmu ekonomicznego.

W oparciu o przeprowadzone badania, Autorka książki ustaliła brak podstawowej wiedzy na temat „prania pieniędzy” nawet wśród menedżerów. Brakuje szkoleń specjalistycznych. Autorka książki wykazuje, że istotne znaczenie w przeciwdziałaniu temu procesowi mogłaby pełnić etyczna postawa. Jej brak umożliwia „pranie pieniędzy” pochodzących z nielegalnych źródeł. Nie wystarczą – jak sądzi wielu – nowe przepisy prawne. Byłoby złudzeniem oczekiwać, że zapobiegłyby one nadużyciom i ryzykom gospodarczym.

Wyjątkowy jest głos Ewy Gołębiowskiej domagający się wpływu etyki na zarządzanie gospodarką. Sprowadzanie przez liberalizm ekonomiczny człowieka do roli „kapitału ludzkiego” oraz tendencja by nacjonalizować straty i prywatyzować zyski – odstaje od elementarnej przyzwoitości do niedawna funkcjonującej w Europie.

Dr Ewa Gołębiowska uważa, że pomocne byłoby „wprowadzenie regularnej oceny odporności instytucji na pranie pieniędzy...”. Niewystarczające jest ograniczanie się do zorganizowanego systemu nadzoru. Wyjaśnia, że pojęcie „pranie pieniędzy” jest używane w języku potocznym począwszy od drugiej połowy XX wieku. Ma ono na celu nadanie legalności dochodom, które pochodzą z przestępczości zorganizowanej. Problem ten badają rozmaite nauki, ale podejście etyczne wyrażone przez Ewę Gołębiowską jest nowe w naszej literaturze naukowej. Nareszcie można przeczytać w omawianej książce, że człowiek jest najistotniejszym elementem systemu.

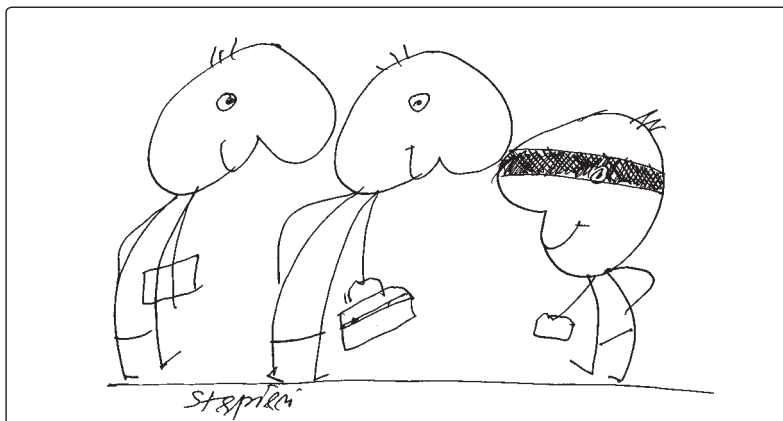
Autorka przeprowadziła w Polsce stosowne badania dotyczące tego problemu. Jak słusznie podkreśla, działanie człowieka uruchamia system poprzez procesy decyzyjne. Są one kształtowane i wcielane w życie oczywiście przez człowieka.

„Pranie pieniędzy” przybrało wielki rozmiar w gospodarce globalnej. Jednym ze skutków jest możliwa utrata zaufania społeczeństwa do instytucji finansowych, a także gospodarcze umocnienie się grup przestępczych, czy wspieranie terroryzmu. Czytamy w omawianej książce, że „bez możliwości ukrycia brudnych pieniędzy Szwajcaria przestaje być atrakcyjna dla wielu zagranicznych inwestorów finansowych, których fortuny zostały zbudowane na korupcji i biedzie ludności wielu państw” (s. 33).

Zwraca uwagę cenny postulat Autorki, by zarządzając gospodarką uwzględniać wartości etyczne. Biorąc pod uwagę stan faktyczny, Ewa Gołębiowska podejmuje problem skutków liberalizmu ekonomicznego. Głęboki humanizm wyraża się w trosce o szacunek dla człowieka. Słusznie stwierdza, że doskonalenie systemu zarządzania powinno wiązać się z uwzględnianiem wartości etycznych.

Trzeba dodać, że książka ta opiera się na bogatej literaturze przedmiotu, a także na przeprowadzonych badaniach. Stanowi ona wyraz interdyscyplinarnej wiedzy Autorki, a więc pozwala czytelnikom głębiej zrozumieć niepokojące zjawiska współczesności.

Rys. Jan Stepien



Eugeniusz KABATC

Popołudnia filozofów

Polski trójkąt Konwy-Konwickiego

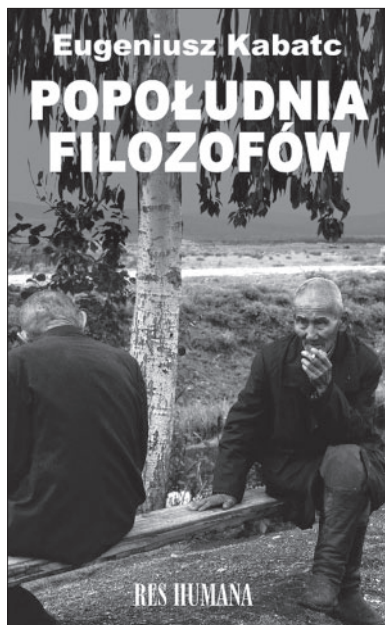
Żalobną wstęgą owinęły chmury Dwa Miasta, Warszawę i Wilno, jak nazywał je Tadeusz Konwicki, dla nas pan Tadzik, dla innych po prostu Konwa.

- Ot i po wszystkim - powiedział Przyjaciół, unosząc nieogoloną twarz znad stołu, za którym utkwiał w zimowym płaszczu na ramionach. W domu Profesora było zimno, mroczno i jakoś drętwło. - Jest człowiek, ważny, cichy. I już go nie ma. Daj się napić.

W domu Profesora popsuło się ogrzewanie i on sam tego czarnego dnia się popsuł. I gdy tak noworocznie wszystko wokół niespodziewanie marniało, trzeba było pilnie odnaleźć coś, co przynajmniej nastrój i myśl nadziei naprawi. Ale i wino czemuś nie smakowało, a potem butelka się przewróciła i licho wzięło wszelką pogodę.

Przyjaciół, który mieszkał na Smolnej, przypomniał sobie z zadziwieniem, że kiedy niedawno jeszcze, ale już głęboką jesienią spotkał pana Tadzika w brzydkiej, jak zwykle, czapie i owiniętego w starą kurtkę, jak w siebie samego, na pytanie: Czy może warto by się napić grzanego wina, usłyszał: – „Panie Geniu, ja umieram”. Powiedziane to było tym podziemnym głosem człowieka, który przeprasza za swoją niesłychaną niemoc i bezradność. Znali się od czasu, w którym pan Tadzik hasał samochodem do Obór za Konstancinem ku swojej ówczesnej muzie, aż na wąskiej wówczas Alei Sobieskiego uderzył w jadący przed nim samochód, który zajechał mu drogę, niefrasobliwie skręcając w lewo. Przyjaciół, który zrzędzeniem losu znalazł się tuż za nim i sam z trudem uniknął kraksy, na życzenie pana Tadzika poświadczył przed milicją jego spektakularną niewinność. Spotykali się potem przez dziesiątki lat, rzadko, ale zawsze pogodnie. Dopiero ostatnie czasy przyniosły zachmurzenie nastroju, choć coraz barwniej robiło się na tych historycznych ulicach Śródmieścia – Chmielnej, Nowym Świecie, Foksa; Smolnej – po których wiodły go drogi jego ulubionych spacerów. Rosła jego sława a on krył się w sobie coraz głębiej, zamykając się w splątanych rojstach pamięci.

– W *Lawie* powrócił do Wilna i Mickiewicza – snuł równoległe swoje myśli Profesor. – Pamiętam, jak przed laty w Rzymie, kiedy zawiozłem go do Neapolu (a tak, a tak, było i Monte Cassino po drodze), by razem, raźniej i w imieniu Rzeczypospolitej mogli wręczyć uroczyste zwycięski puchar naszym koszykarzom w zmaganiu międzynarodowym. Potem, następnego dnia, gdy ponadto mieliśmy zawiesić – z inicjatywy polonistyki neapolitańskiej – tablicę pamiątkową Sienkiewi-



W jubileuszowym dniu 85-lecia Eugeniusza KABATCA, wybitnego prozaika i eseisty, prezesa Polskiego Oddziału Europejskiego Stowarzyszenia Kultury (SEC); i tego, który zechciał z łamów naszego czasopisma dzielić się swoją mądrością zrodzoną z ducha dialogu i zwróconą ku kulturze dobra – składamy Drogiemu Jubilatowi, naszemu Przyjacielowi, najszczerze gratulacje i najserdeczniejsze życzenia wszelkiej pomyślności.

Czekamy na kolejne POPOŁUDNIA FILOZOFÓW i na wszystko, co wzbogaca myśl i przesłanie naszego czasopisma.

Zdzisław SŁOWIK
wraz z Zespołem Redakcji „RES HUMANA”

Na Jubileusz Eugeniusza KABATCA została w Bibliotece „RES HUMANA” wydana książka będąca zbiorem Jego tekstów drukowanych przez minione osiem lat w rubryce zatytułowanej „POPOŁUDNIA FILOZOFÓW”.

Zapraszamy do lektury książki. Zamówienie jej nabycia (w cenie 12 zł za egzemplarz) przyjmuje Redakcja RES HUMANA.

czowi na hotelu Continental, gdzie kiedyś zaczynał pisać noblowskie. *Quo vadis?*, w ostatniej chwili pan Tadzik się zawahał: „Panie Gieniu, czy tej tablicy nie można poświęcić Mickiewiczowi?”. Potargowaliśmy się trochę o wymowę okolicznościowej poezji Wieszcza („Znasz li ten kraj, gdzie cytryna dojrzewa?, „Wolę polskie guano w polu niżli fiołki z Neapolu”), ale gdy zgodził się wreszcie na swój udział w ceremonii, osłonił się dyskrecją. Popatrz!

To zdjęcie jest poruszające, zgodzili się panowie. Na pierwszym planie asesor od kultury Magistratu Neapolitańskiego, młoda pani profesor z Istituto Orientale i wasz nieskromny sprawozdawca. A w głębi, za ich plecami, kryje się ten najważniejszy dla ceremonialnego aktu, lecz przegrywający batalię mickiewiczowską współczesny pisarz polski, Tadeusz Konwicki.

- Ha! - podsumował Przyjaciel. Dziwny to pisarz polski, co Sienkiewicza nie uznaje.

- Nie on jeden - zauważył Profesor. - Już ponad sto lat temu rozgorzała w Warszawie kampania antysienkiewiczowska. Konwa też nie zależał do tych, co piszą „ku pokrzepieniu serc”. Sam połamany był na trzy sposoby, ściśnięty w tym swoim trójkącie polityki, moralności i wschodniej, właśnie mickiewiczowskiej nieporadności...

- Nieporadności? - zdziwił się Przyjaciel szczerze. - Toż to był Litwin z isticie przebojowym szwunkiem!

- Z pozoru, jak Mickiewicz właśnie - odrzekł Profesor niby zdecydowanie, ale z tą swoją kresową niepewnością. - Nigdy nie udało mu się zmienić do końca swojego litewskiego oblicza polskości. Posł- Dokończenie na III s. okł.

Lektury nieobowiązkowe

Wacław SADKOWSKI

Czy Apollinaire był Polakiem?

Od jednego z czytelników mojej niedawno wydanej książki *Rozdroża miłości Guillaume'a Apollinaire'a* otrzymałem list „e-mailowy” zawierający dość znamienne uwagi polemiczne. Chodzi mianowicie o korzenie genealogiczne Guillaume'a Apollinaire'a, czyli Wilhelma Apolinarego Kostrowickiego, a mówiąc ściślej - o jego polskie pochodzenie „po kądzieli”. Mój polemista wysunął zarzut, że przece-niam kwestię „domieszki polskiej krwi” w żyłach autora „Piosenki niekochanego” i że bezpodstawnie przypisuję mu świadomość jego polskich korzeni. Przywoła-łem w swojej „e-mailowej” odpowiedzi zawarte w korespondencji Apollinaire'a wyznania w tej materii, czynione „otwartym tekstem” (które oczywiście w mojej książce cytuję), ale podkreśliłem zarazem, że nie posunąłem się nigdy do tego, co niektórzy badacze nazywają „pamięcią genetyczną”. Nie szedłbym aż tak daleko w poszukiwaniach polskich ech kulturowych w myśleniu i w wypowiedziach francuskiego (a nie tylko francuskojęzycznego) poety, jakim był Apollinaire. Trzeba mieć na względzie to, że jego twórczy akces do kultury i literatury francuskiej był istotnie nawiązaniem „powinowactwa z wyboru”.

A był to wybór niezmiernie istotny dla rozwoju kultury i sztuk pięknych w tym kraju. Apollinaire, urodzony we Włoszech, do Francji trafił za matką, wędrującą po całej Europie. Nauki szkolne pobierał głównie w Nicei, ale całymi latami przemieszkował (i uzupełniał wykształcenie) w różnych regionach Francji. Matka w czasie wszystkich tych wędrówek wpajała Wilhelmowi Apolinaremu przy różnych okazjach sporą porcję wiedzy o kraju, z którego pochodziła, jego historii, kulturze i obyczajach, a także pewną dawkę klechd i legend rodzinnych, niekiedy wręcz fantastycznych (to z jej inspiracji podawał się za potomka Rurykowiczów – założycieli państwa wielkoruskiego!). W każdym razie taki splot wiedzy sformalizowanej z gędźbą domową (wzbogacaną pogwarkami z różnojęzycznymi przyjaciółmi matki) uczynił Guillaume’a Apollinaire’a (takie wymyślił sobie pseudonim literacki) w pełni świadomym odrębności jego życiowego doświadczenia i drogi jaką odbył, by wkroczyć do literatury francuskiej. Z miejsca też przystąpił do awangardowego ruchu poetyckiego, którego Paryż był centrum o randze ogólnoeuropejskiej. A także – niejako przy okazji – skodyfikował poglądy estetyczne grupy awangardowych malarzy, nazwanych przezeń kubistami. I nie bez dumy wyznał, że godzi się na określenie jego tożsamości jako jednego z trzech (obok piszącego po niemiecku Przybyszewskiego i wielkiego odnowiciela angielszczyzny, Conrada) najwybitniejszych ówczesnie pisarzy polskich uprawiających sztukę pisarską nie w języku polskim.

I chyba tak właśnie traktować należy jego poczucie tożsamości, czy też samoświadomości narodowej. Dał temu wyraz w pięknym wierszu „Jestem Życie” – przytoczę jego finał w świetnym przekładzie Artura Międzyrzeckiego:

*...tam gdzie Życia niosłam wieczne darowizny
wśród ścian podobnych do murów szpitala –
zazdrosne o uścisk swych samców zachłanny
tłumnie się blade zgromadziły panny (...)*

*Rozszarpały mnie w końcu Ojczyzny zazdrosne,
Mnie Myśl, Mnie Sztukę i Mnie Miłość!
Lecz wystawione na ich strzały śmiertcionośne
Moje ciało blasku nie straciło.*

*Bo wszystkie moje rany znowu zakwitają
I kochankowie w dawnych żarach swej miłości,
szczęśliwi, że wargami jest całe me ciało,
runęli w mego łoża mokre głębokości.*

Jeśli więc uznano Josepha Conrada prorokiem (a może wręcz ojcem-założycielem) tak zwanej literatury postkolonialnej, tworzonej w angielszczyźnie przez cały legion utalentowanych „obcoplemiennych” – jak się kiedyś mawiało – pisarzy z najodleglejszych krain Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, to może należało by przyznać Apollinaire’owi laur inicjatora literackiego europeizmu?

Mógłbym zresztą podeprzeć tę hipotezę argumentem całkiem niebiałym. Jest mianowicie także wiersz Apollinaire’a, który świadczy o tym, że matka nie tylko wyposażała go w wiedzę o naszych narodowych porywach zbrojnych, ale także szczególny sposób odnoszenia się do owej wiedzy. Wiersz ów oparty jest na popularnej piosence żołnierskiej „Jak to na wojence ładnie...” Otóż jej syn – poeta francuski został zapoznany nie tyle z istotnym przesłaniem owego utworu, ile z jego popularną wykładnią, dyktowaną najpewniej ogólnie przyjętym sposobem interpretacji śpiewawczej. Dominuje w tym odczytaniu pozytywny ładunek uczuciowy, jaki wkładali weń wykonawcy (w tym wypadku – wedle wszelkiego

prawdopodobieństwa – matka poety). Bo jest to – w wersji Apollinaire’a – utwór wypełniony smętkiem, czyniącym zeń swego rodzaju poetycki akt beatyfikacyjny bohaterów. A jak sprawa przedstawia się w oryginale? Otóż w większości popularnych, dawnych i nowych wykonaniach tej piosenki, funkcjonującej w różnych ustrojach i epokach, zaciera się prawdziwe przesłanie zawarte w jej poetyckim tekście, przesłanie wyłożone wręcz natarczywie zarówno we wprowadzeniu w opiewaną sytuację:

*Jak to na wojence ładnie,
Kiedy ułan z konia spadnie.
Koledzy go nie żałują,
Jeszcze końmi go tratują...*

– jak i w konkluzji:

*Śpij kolego w ciemnym grobie,
Niech się Polska przyśni tobie...*

Trzeba doprawdy absolutnego oszołomienia narodową martyrologią, by nie dosłyszeć gorzkiego sarkazmu w tym zaśpiewie, dyktowanym przecież najczarniejszym humorem. Ta zgroźliwa wymowa wojskowej śpiewki najpewniej została przedarła się do frankofońskiej batalistyki poetyckiej. Echo tego straceńczego w istocie chorału zostało w wierszu Apollinaire’a nie tylko przygłuszone, ale wręcz obrócone w ułańską sielankę: jeden z tłumaczy (Stanisław Brucz) nadał tym dwu zwrotkom wymowny tytuł: „Pożegnanie kawalerzysty”:

*O jak to ładnie na wojence
Ładne piosenki i postoje
Ten pierścień moje gładzą ręce
Z wiatrem westchnienia biegną twoje
Żegnaj! brzmi trąbka po szwadronach
Na koń! i znika za zakrętem
Zamarła gdy tymczasem ona
Śmiech rzuca losom niepojętym*

Rzecz znamienna: w polskich wydaniach poezji Apollinaire’a – oczywiście w tłumaczeniu na nasz język – wiersz ten jest notorycznie pomijany: przywykliśmy do odzewów na nasze poświęcone pamięci poległych bohaterów rapsody żalobne.

Psotna pamięć nasuwa mi jeszcze inne skojarzenie, chyba nie tylko mnie zaskakujące: otóż jest w naszej poezji tuż-przedwojennej, przepatrzonej w swoim czasie przez Kazimierza Wykę, wiersz Wojciecha Żukrowskiego (tak! posługiwał się był niekiedy w latach młodości mową wiązaną!), powstały najpewniej w czasie jakichś, jeszcze przed wybuchem wojny odbywanych manewrów artylerzystów-rezerwistów. Utwór podchorążego Żukrowskiego wręcz współbrzmi z przytoczonym powyżej wierszem Apollinaire’a. Oto pierwsza jego strofa:

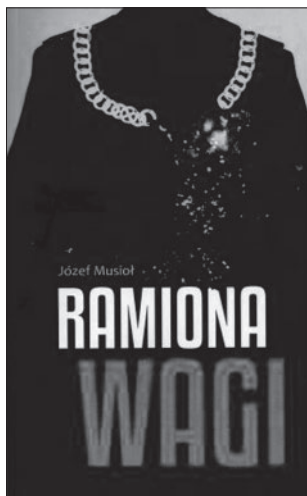
*Jeszcze póki koła pomału
W pękach kwiatów będziemy pamiętać
Ten ostatni ukradziony całus
I pachnące łąkami dziewczęta...*

Takie to niespodzianki kryje w sobie nasza poezja. Może więc warto włączać od czasu do czasu jakieś wiersze na listę lektur nieobowiązkowych.

WŚRÓD KSIĄŻEK

Józef MUSIOŁ

Ramiona wagi, Wydawnictwo AN-TYKWA, Kraków 2014. s. 267.



W kręgu godności

Byłoby nieporozumieniem uznać tę książkę, znanego sędziego karnisty z najwyższego piętra polskiej Temidy, za kolejny tom w czcigodnej kolekcji pitawali. Jeśli pod pewnym bowiem względem spełnia jej warunki, to zarazem istotnie je przekracza. Bowiem dziedzina prawa, której poświęcił swoją karierę zawodową sędzia Edward Brzeźniak (pod takim nazwiskiem poznajemy go w tej książce), skoncentrowana na orzeczeniach z artykułu 148 & 1 kk, a więc dotyczących samego wnętrza ludzkich dramatów i ludzkich losów, była dla niego zarazem afirmacją jego przekonań i zasad, trudnych być może do pogodzenia ze sferą w pełni spełnionego życia osobistego.

Śledzimy więc najpierw owe sprawy i jego orzeczenia: każda jest inna, choć zarazem zawsze zakończona tragedią, śmiercią ofiary z ręki konkretnego sprawcy. Oto sprawa o zabójstwo rygorystycznego portiera; sprawa Ludwika Z. o spowodowanie śmierci osoby mu bliskiej; sprawa o dzieciobójstwo czy o zabójstwo przez syna swojej matki, i dalsze sprawy – o zabójstwie swoich żon, swoich życiowych rywali czy wreszcie osób innych. I jest sprawa, kiedy on, już jako sędzia Sądu Najwyższego, musi podjąć jednoosobowo, w trybie rozpatrywanej apelacji, decyzję o zwolnieniu skazanego za zabójstwo od dalszego odbywania kary izolacji czy też, kiedy, wbrew czterem innym sędziom tego Sądu, zgłasza „zdanie odrębne” i uzasadnia je w piśmie skierowanym do Rady Państwa. Przed

nami przesuwają się, niczym sekwencje filmowych klitek, kolejne sprawy, losy człowiecze, ich dramaty.

Ale ukazuje się kolejno na kartach książki ich druga odsłona – motywy działania sprawców zbrodni, które trzeba ustalić nie tylko na podstawie dowodów rzeczowych, lecz tych, które tkwią w naturze ludzkiej, stanach ich psychiki, To świat złożonych motywów, namiętności, niekontrolowanych odruchów, świat wciąż nie do końca poznanych źródeł ludzkich zachowań. Sądy zasięgają opinii biegłych z różnych dziedzin nauki, czytają ich wskazania i konkluzje. Lecz w końcu nikt inny, tylko oni – sędziowie muszą podjąć decyzję, wydać wyrok. I nie we własnym ale Rzeczypospolitej imieniu.

I te właśnie progi sądu, w jego ramiona i jego złożony świat, zaprasza nas sędzia Brzeźniak, ten, który – wbrew oporowi tradycji i rutyny środowiska czy dosłownie pojmowanej litery prawa – starał się ten świat zastany zmieniać na lepszy. I myślę, że ta właśnie determinacja jest głównym, jeśli nie najważniejszym przesłaniem tej książki: napisanej przez człowieka polsko-niemieckiego pogranicza II Rzeczypospolitej, Ślązaka, nie ukrywającego swojej tożsamości, a zarazem głębokiego patrioty, dla którego dobro Polski było od początku wartością najwyższą, choć nie bezkrytyczną. Było nią na wszystkich drogach jego nauki i życia: w latach PRL i w III RP. W tym czasie rozgrywają się dramaty tworzące treść *Ramion wagi* i wyroki, które podejmuje; z tła tego czasu słychać nowomowę tamtych dni, trudności codziennego życia; rażąco niskie – wobec odpowiedzialności – wynagrodzenia sędziów; czuć władzę sekretarzy i wszechobecną inwigilację. Sędzia Edward Brzeźniak doświadcza tego wszystkiego, choć nie utrudnia to jego wznoszącej się kariery zawodowej: upomina się w wielu różnych publikacjach i działaniach o demokratyczne przemiany ustrojowe w kraju, o prawa człowieka i jego godność; o pluralizm polityczny i o niezawisłość władzy sądowniczej oraz samych sędziów. „Nikt za ciebie – czytamy jeden z wielu monologów wewnętrznych autora – nie podejmie tej decyzji, jesteś sędzią, a nie politykiem. W twój zawód wpisany jest nie tylko niepokój, ale obowiązek wydawania odważnych orzeczeń zgodnie

z prawem i swoim sumieniem, a nie pod czyjeś oczekiwania, nawet szeroko pojętej opinii publicznej” (s. 257).

Lecz kiedy nadszedł czas przemian i narodzin III RP, niepokój autora wobec tego, co się wokół dzieje, nie zmalał. Bo pojawiły się nowe zagrożenia, choćby w postaci zakwestionowania prawomocności całego orzecznictwa tamtych lat i „generalnego rozgrzeszenia wszystkich skazanych, także za groźne przestępstwa pospolite przeciwko życiu i zdrowiu człowieka”, a nawet uznania wszystkich niemal sędziów za osoby podejrzane. „Nie podjęto próby zobiektywizowania oceny poszczególnych sędziów, w kontekście obowiązującego ich wówczas stanu prawnego” (s. 252–253). I doszło do czegoś jeszcze bardziej złego: na podstawie przyjętej w styczniu 1999 roku ustawy o „ochronie informacji niejawnych”, władze demokratycznego i suwerennego już państwa podejmują w dosłownym sensie inwigilację sędziów metodami godzącymi w ich godność i niezawisłość. Doświadczył jej także autor książki. Gorycz, można powiedzieć, przebrała się w jego sumieniu ponad miarę.

Kolejne karty zapraszają do uczestnictwa czytelnika w rozmowie autora v. bohatera książki z prezesem Sądu: choć przebiega ona w atmosferze wzajemnej kurtuazji, to zarazem wynika z niej bezsilność władzy formalnie niezawisłej wobec jej skrępowania kontrolą policyjną. Katastrofy nie bywają samotne: po rozstaniu się w tym samym niemal czasie z bliską sobie osobą, podejmuje decyzję o „rezygnacji dalszego pełnienia funkcji sędziego”. Decyzję tę – napisał w liście do prezesa Sądu – „traktuję jako wyraz protestu przeciwko oficjalnej i nieoficjalnej deprecjacji zawodu sędziego. Nie mogę godnie wypełniać tej funkcji, mając świadomość, że sędziowie są i mogą być obiektem inwigilacji i zbierania o nich opinii, co podrywa w ten sposób nie tylko ich autorytet, ale i sprowadza niemal do roli podejrzanych. Wkracza to też w sferę życia prywatnego i godzi w poczucie godności” (s. 267).

Tak: godność była dla niego zawsze wartością szczególnie cenioną, kiedy wyrażał pogląd, że sędzia „który się tłumaczy objawia, iż nie jest w pełni niezawisły. Może jedynie wytłumaczyć i to w formie uzasadnienia swego orzeczenia. Nigdy jednak nie zawrze w nim wszystkiego, co przeważało tę szalę w jedną lub w drugą stronę, co uruchomiło owe ramię wagi...” (s. 108). I niemniejszą są do swej rangi wartością było dla niego przekonanie o potrzebie usilnego definiowania społecznego łała czynów ludzkich, i dobrych i złych. One nie powstają z niczego, ich nie można sprowadzić jedynie do jednostkowych dysfunkcji, bo owe dysfunkcje powstają także ze społecznych uwarunkowań ludzkiej egzystencji.

Wybór jakiego dokonał sędzia Edward Brzeźniak, to wybór drogi trudnej, drogi „koziorożca”, jak sam siebie określił; to wybór, który prowadził ku szczytom, ale który groził też upadkiem, także dyskomfortem życia osobistego, choć były w nim chwile zapamiętane na zawsze (jak choćby takie zdanie zawarte w liście do niego od młodej kobiety: „Lękasz się tego, czego pragniesz i pragniesz tego, czego się lękasz”, s. 94).

Ów list o swojej rezygnacji z urzędu uruchomił jego kolejne kroki: „Z domu zabrał małą walizkę na kółkach, jakieś notatki, parę niezbędnych książek. W drodze na parking wrzucił do skrzynki pocztowej dwa krótkie listy – oba pożegnalne do swojej, wprawdzie tylko formalnie, ale żony, i do tej, której zaufał, a która stała się dla niego czasem przeszłym. Poczuli się nagle wyzwoleni z dręczących go rozterek”(s. 268 nlb).

Być może doświadczył takiego, dodajmy, gorzkiego „wyzwolenia”, które było przecież, bądźmy szczerzy, także jego porażką, lecz zarazem – patrząc na dalszy bieg wydarzeń – ów protest wybitnego sędziego, owa porażka, poruszyły ten kamyk, który jak lawina przyniósł polskiemu sadownictwu w kolejnych latach wiele dobrego. To dobro jest dziś widoczne w wymiarze prestiżu i materialnej satysfakcji polskich sędziów, choć wciąż jest wielu, którzy ten prestiż próbują podważać z niskich pobudek.

W tej perspektywie przesłanie *Ramion wagi* przekracza nie tylko to wszystko, co zdecydowało o dalszych losach jej autora, ale pozostaje obroną zawsze mu bliskich wartości demokratycznych, wartości, które nie mogą nie budzić podziwu i szczerego szacunku.

Wacława MIELEWCZYK



Rafał WOŚ

Dziecięca choroba liberalizmu, Wydawnictwo STUDIO EMKA, Warszawa 2014, s. 292.

RAFAŁ WOŚ
dziecięca
choroba
liberalizmu



Iluzja niewidzialnej ręki rynku

„Rafał Woś napisał najprawdopodobniej najlepszą analizę tego co się w polskiej gospodarce, polityce i życiu Polaków stało przez ostatnie ćwierć wieku pod wpływem dominujących od lat tendencji ideologicznych” – tak brzmi opinia wyrażona na obwolicie tej książki przez Jacka Żakowskiego, cenionego publicysty III RP. Cóż można dodać po takim osądzie (wyrażonym przez tak znaną osobę)?

Rafał Woś to publicysta ekonomiczny „Gazety Prawnej”, laureat kilku nagród i nominacji, uznawanych za prestiżowe w środowisku dziennikarskim. Prosty, klarowny i dlatego przystępnym językiem (co zdarza się nie często w kręgach zajmujących się ekonomią, gospodarką, produkcją, wymianą towarową itd.) prezentuje na prawie 300 stronach drogę polskiej transformacji po 1989 roku. I szkodliwe efekty – w większości tak było (odwołania do dorobku T. Kowalika, K. Modzelewskiego, L. Oręziak, J. Titenbruna, D. Sześciły czy J. Gardawskiego są tego najlepszą podporą) – podjętych, kluczowych decyzji politycznych nie uwzględniających w dostatecznym stopniu interesu polskiego państwa jako wspólnoty obywateli. To wszystko jest niby znane, ale u Rafała Wosia zagadnienia polskiej transformacji są skupione jak w soczewce. A to problemy niezwykle ostro i drastycznie dotykające od prawie ćwierćwiecza nas wszystkich.

Nie bez znaczenia jest – i to Autor wielokrotnie podkreśla – klimat roztoczony przez **mainstreamowe** media i narracja jaką posługiwały się czołowe osoby polskiej transformacji dla realizacji określonych, modnych wówczas za Oceanem (tzw. szkoła chicagowska) rozwiązań. Stworzono klimat totalnej bez – alternatywy, atmosferę absolutnego determinizmu, nastroj konieczności i nieuchronności takich właśnie radykalnych (i często – niepotrzebnych z punktu widzenia społecznego) reform czy rozwiązań ekonomiczno-politycznych (jakie zaordynował Polsce Jeffrey Sachs i jego polski odpowiednik – Leszek Balcerowicz).

Wynikało to z głębokiej pogardy i deprecjacji tego co rozumieliśmy dotąd pod pojęciem uspołecznionej polityki oraz z faktu, że zawałił się dwubiegunowy podział świata, a system realnego socjalizmu okazał się niezdolny do nowych czasów i jego wyzwani. Poza tym świat zacharowany został neoliberalizmem (jaki królował od epoki Ronalda Reagana w Stanach Zjednoczonych i w Wielkiej Brytanii rządzonej przez Margaret Thatcher) – w tym momencie: zwycięskim systemem (i jak się wydawało niemal wszystkim akolitom jedynym dopuszczalnym w takim razie modelem gospodarowania) – odrzucając niemal powszechnie myśli o metodach konkurencyjnych czy alternatywnych. Polska i elity nią rządzące okazały się wybitnie uległe (politycznie, metodologicznie, ekonomicznie itd.) tej chorobie, tej jednowymiarowej obsesji, temu – jak dziś widać – wynaturzeniu.

Ale niektóre kraje byłego obozu socjalistycznego obrały inną drogę. Drogę mniejszego ryzyka i wolniejszego (oraz bardziej stonowanego) przystosowywania się do gospodarki klasycznie kapitalistycznej. Woś podaje przykłady Czech i Węgier, które nie zdecydowały na tak gwałtowną zmianę. Poziom nierówności w tych krajach okazuje się dziś niższy niż w Polsce. Bo są różne modele reform, gospodarowania, zarządzania, prywatyzacji. Oczywiście Polska była krajem peryferyjnym, przeszła z jednego układu zależności do drugiego i miała bardzo słabą pozycję przetargową. Międzynarodowe instytucje finansowe traktowały nasze elity jak dzieci, a nie jak partnerów. Złożoną przez nie ofertę można sprowadzić do formuły *take it or leave it* (bierzesz albo odchodzisz). Ale nawet wtedy były pewne pola manewru. Szef zespołu doradców Międzynarodowego Funduszu Walutowego – jak mówi podczas spotkań i w wywiadach Autor książki – Michael Bruno nie krył zdziwienia, iż rząd Tadeusza Mazowieckiego wybrał najostrożniejszy wariant transformacji spośród przedstawionych przez tę instytucję. Nie można sprowadzać neoliberalnej choroby wyłącznie do Balcerowicza bo jego politykę kontynuowali następcy. Nie widzieli oni (może częściowo poza Grzegorzem Kołodko rozkładającym inaczej akcenty swej polityki gospodarczej). W latach

90. mieliśmy żywiołową prywatyzację, upadek przemysłu, masowe bezrobocie, ale nie było problemu z umowami śmieciowymi. Pojawił się on za rządu SLD. Umowy śmieciowe zaś zrodziły **prekariat** – rzeszę nisko opłacanych ludzi żyjących w ciągłej niepewności i strachu, pozbawionych wszelkich praw pracowniczych, łącznie z prawem do maksymalnego czasu pracy, urlopu i emerytury. Rząd SLD i kolejne w XXI wieku (które ów trend jedynie nasiliły) – uważa w swej książce Woś – nie przeszkadzały w komercjalizacji kolejnych dziedzin życia: edukacji, służby zdrowia czy bezpieczeństwa wewnętrznego (olbrzymia ilość firm ochrony zatrudniających masę ludzi na niegodziwie niskich stawkach).

Przetracone i osłabione – zarówno jurydycznie jak i medialnie (zrzeczenie się pracobiorców w związki zawodowe stało się w Polsce popularnym „obciachem”) – zrzeczenia ludzi pracy najemnej nie były w stanie skutecznie przeciwstawić się takiemu rozwojowi sytuacji (jedynie górnicy i ich Związki Zawodowe w skuteczny – choć niekonwencjonalny i nie zawsze tolerowany sposób – potrafili wymóc na rządzących swe postulaty). A przykładów państw gdzie związki pracobiorców są silne i skutecznie bronią ludzi pracy najemnej przed huraganem neoliberalizmu jest w Europie sporo. Klasycznym są Niemcy gdzie dzięki zdecydowanej postawie związkowców rząd wycofał się z wielu neoliberalnych rozwiązań.

W Polsce ta lawina ruszyła na dobre pod rządami AWS/UW. Słynne tzw. „cztery reformy” są tego dramatycznym i klasycznym przykładem. Deregulacja poszła wtedy niesłychanie daleko. Objęła bowiem pracę. To Polska, a nie Niemcy do których lubimy się porównywać i głosić naśladownictwo niemieckich stosunków, jest liderem pod względem udziału osób zatrudnionych na umowy śmieciowe (pozakodeksowych). Niemcy, mimo trzeciej drogi – jak podaje Autor książki – Gerharda Schrödera, wciąż są państwem socjalnym, Polska – nawet nie „*ćwierć-socjalnym*”. Aby się o tym przekonać, wystarczy porównać udział wydatków na cele socjalne w budżecie.

Niezwykle pozyteczna i symptomatyczna to pozycja na naszym rynku księgarskim, skupiająca jak w soczewce podstawowe problemy polskiej transformacji ustrojowej, będąca zarówno analizą przyczyn jak i druzgocącą krytyką przyjętych rozwiązań. To bodajże pierwszy przypadek – poza naukowymi opracowaniami – tak wszechstronnego (a zarazem napisanego w lewicowej narracji) dzieła. I to na dodatek napisanego w wersji popularnej. Warto po nie sięgnąć.

PS. W 18 grudnia 2014 we Wrocławiu odbyło się autorskie spotkanie Rafała Wosia z Czytelnikami zorganizowane przez prężnie działający we Wrocławiu lewicowy *think tank* – Ośrodek Myśli Społecznej im. F. Lassalle’a – kierowany przez Michała Syskę. Przybyło ponad 60 osób, sporo było młodzieży. Pytania i dyskusja po zagajeniu spotkania przez Autora była żywa i koncentrowała się na najważniejszych sprawach nurtujących dziś Polaków.

Radosław S. CZARNECKI

FUNDUSZ WSPARCIA „RES HUMANA”

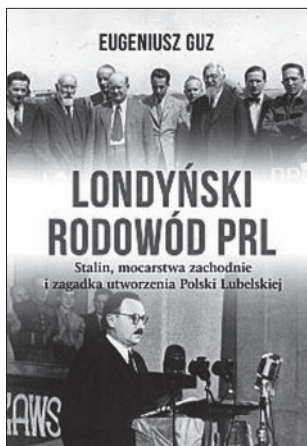
Z radością informujemy, że w dwóch ostatnich miesiącach minionego roku FUNDUSZ WSPARCIA naszego czasopisma powiększył się o kwotę, która w znacznym stopniu przybliżyła nas do osiągnięcia stanu środków finansowych zapewniających niezakłócony rytm wydania RES HUMANA w 2015 roku. To wspólny sukces wszystkich Czytelników i Prenumeratorów czasopisma, a wśród nich tych, którzy przyczynili się do tego w miesiącach ostatnich: Serdecznie dziękujemy.

Redakcja RES HUMANA

Pani Anna BARTOCHOWSKA z Warszawy
Pani Feliksa BONAWENTURCZYK z Koszalina
Pan Andrzej CIESIŃSKI z Warszawy (po raz drugi)
Pan red. Jerzy FIEDOSIEJEW z Łodzi
Pan Jan GABOR z Opola
Pan dr Antoni JAŚKIEWICZ z Koszalina (po raz drugi)
Pan mgr Adam KĘDZIERAWSKI z Chełma
Pan Władysław KOMORNICKI z Krakowa
Pan prof. Józef KWAPISZEWSKI z Poznania (po raz trzeci)
Pani mgr Zofia ŁUKAŃKO z Gorzowa Wlkp.
Polskie Stowarzyszenie Racjonalistów
Pani mgr Leokadia PROKURAT z Elbląga
Rada Wojewódzka TKŚ w Koszalinie
Pan Bogumił ŚLIWA z Chorzowa
Pan prof. Dionizy TANALSKI z Warszawy
Pani Lucyna WAŃCZYK z Zamościa

Eugeniusz GUZ _____

Londyński rodowód PRL. Od Mikołajczyka do Bieruta, Wydawnictwo BELLONA, Warszawa 2014, s. 246.



W złożonym tyglu polskiej historii

Im bardziej wydłuża się horyzont najnowszej polskiej historii, tym bardziej odkrywa on przed nami nie tylko nowe, często nieznanne dotąd fakty, ale też zachęca do ich nie mniej nowych interpretacji.

Najnowsza książka Eugeniusza Guza, cenionego niemcoznawcy i publicysty, podejmując nieznanne dotąd wątki związane ze źródłami powstania PRL wpisuje się w ten właśnie, wolny od jakiegokolwiek doktrynerstwa, roztropny sposób myślenia o powojennych polskich losach. Lecz jak każda myśl, odmienna od utrwalonej czy obowiązującej interpretacji owych losów, nie może nie budzić zastrzeżeń, a może nawet skłaniać do polemiki.

Tym bardziej, że opowieść autora dotyczy kwestii zupełnie fundamentalnej: czy oto możliwy był inny niż realnie ukształtowany powojenny ład w Europie i na świecie, i czy w jego ramach możliwy był inny niż powstały kształt ustrojowy powojennej Polski. Mówiąc jeszcze dobitniej: czy Polska musiała stać się częścią strefy dominującego wpływu stalinowskiej Rosji ze wszystkimi tego następstwami w postaci ograniczonej suwerenności, zmienionego kształtu granic, własnej tożsamości i na nowo pisanej własnej historii. Czy ustalenia trzech wielkich wówczas de-

cydentów owego powojennego ładu – Churchilla, Roosevelta i Stalina, pisane w Teheranie, Jałcie i Poczdamie mogły być inne w sprawie Polski, czy Polska i jej ówczesni przywódcy – skupieni w strukturach decyzyjnych w Londynie i w Moskwie, zdolni byli do takich działań, które przyniosłyby Polsce odmienną od zaistniałych przestrzeń własnej tożsamości uwolnionej nadto od tragicznych następstw tego wszystkiego, co się realnie stało?

Autor *Londyńskiego rodowodu PRL* uważa, że istniała, mimo wszystko, taka alternatywa dla Polski: była nią droga „finlandyzacji Polski” to jest drogi, którą za bardzo wysoką cenę uzyskała do Stalina sąsiadująca z jego imperium maleńka Finlandia, skazana wcześniej na wchłonięcie przez to imperium, lecz której udało się wynegocjować status państwa neutralnego, zachowującego odmienny od imperium system ustrojowy, pozwalający jej wyłącznie, bez obcej ingerencji, kształtować swój los.

W przypadku Polski autor wylicza najpierw w szesnastu punktach korzyści, jakie z analogicznego rozwiązania ustrojowego zyskał by nasz kraj. Oto niektóre z nich: „Polska byłaby bez porównania bardziej niepodległa i suwerenna niż Polska Lubelska; Uniknęlibyśmy polskiej Jałty, która wprawdzie przewidywała powrót Mikołajczyka do Warszawy, lecz tylko w mariażu z dominującą tam lewicą; Nie doszłoby do powstania PKWN i wszelkich dalszych związanych z tym komunistycznych kroków”; Uniknęlibyśmy powstania warszawskiego, 200 tysięcy śmiertelnych ofiar i Warszawy w ruinach; Do kraju wróciłaby uzbrojona 200. tysięczna armia Andersa i Maczka... Masa żołnierzy ludowego Wojska Polskiego, byłaby dodatkowym wsparciem dla Mikołajczyka” czy wreszcie Polska „skorzystałaby z dobrodziejstw planu Marshalla”(s. 166–167).

Autor książki, zdając sobie sprawę z wszystkich możliwych trudności, związanych z „finlandyzacją Polski” (nawiasem mówiąc o „finlandyzacji” współczesnej Ukrainy jako drogi jej wyjścia z jej obecnego stanu, mówił niedawno Henry Kissinger), w warunkach ówczesnego układu sił na świecie, podejmuje – sprzedając możliwe zarzuty utopijności tej wizji – dwa istotne wątki tematyczne. Po pierwsze, uważa, przytaczając liczne świadectwa zapisane na kartach najnowszej historii, że Stalin do połowy 1944 roku wahał się co do powojennego kształtu ustrojowego Polski zapewniając wcześniej wielu ważnych polskich rozmówców, że opowiada się za Polską niepodległą, „bez względu na jej ustrój wewnętrzny”, że nie spieszył z instalacją w Polsce ludzi PKWN. Lecz w łonie emigracyjnych władz londyńskich nie ufało obietnicom Stalina, to też w rządzie tym – wbrew sugestiom ówczesnych przywódców zachodnich – zwyciężył pogląd niezdolny do sformułowania płaszczyzny kompromisu w kwestii kształtu ustrojowego Polski.

Na kolejnych kartach książki autor przywołuje gorzkie doświadczenie Czechosłowacji, w której po trzech latach względnej suwerenności tego państwa, władzę w nim, z oczywistym wsparciem Stalina, przejęła w drodze puczu ekipa polityczna w pełni podporządkowana Moskwie. Ale sądzi zarazem, że sytuacja w Polsce była wówczas istotnie odmienna od czechosłowackiej, i że – bez brutalnej ingerencji stalinowskiej Rosji – polska formuła fińdyzacji byłaby ocalona.

„Ze wszystkich państw, które po wojnie znalazły się w radzieckiej strefie wpływów tylko Polska miała realną szansę fińdyzacji i tylko o przyszłości Polski toczyły się między Wielką Trójką niekończące się rozmowy – czytamy Eugeniusza Guza. Z szansy poteherańskiej bezwzględnie należało skorzystać. Mikołajczyk nie miałby oczywiście żadnej gwarancji, że Stalin wcześniej czy później nie uchyli się od wypełnienia przyjętych układem zobowiązań... Błędem polskiej strony była rezygnacja ze sprawdzenia stalinowskiej wiarygodności. Wybrano bezczynność” (s. 177).

Gorzka to, przynajmniej, konkluzja autora książki: wielce ciekawej przypomnianymi faktami, świetnie się czytającej, klarownej konstrukcją i odważną, i może dlatego dyskusyjną, interpretacją. Wszystko to razem zasługuje na szacunek.

Andrzej BIERNACKI

W CZASOPISMACH

Dwa tygodnie polskiego weekendu ufundowane, na przełomie minionego i Nowego Roku mocą tradycji chrześcijańskiej, wspartej spolegliwością neutralnego w kwestiach światopoglądowych państwa, upłynęłyby zupełnie pogodnie, gdyby nie protest części polskich medyków skupionych w tzw. Porozumieniu Zielonogórskim, którzy uznali ten polski czas za najważniejszy dla swoich korporacyjnych interesów, aby wynieść je na wierzch i wstrząsnąć nimi całym państwem. Nie wnikając na tym miejscu w roztrząsanie tych interesów, które – koniec końców – okazały się na tyle zracjonalizowane, aby spór został zakończony, nie sposób uciec od pytania o stan wrażliwości moralnej tego środowiska medyków. I tu wolno powiedzieć, że część polskich lekarzy ma, jak widać, kłopot z tą właśnie wrażliwością, bo zastąpili ją zimną kalkulacją i własnym interesem. Fakt ten nie jest najlepszą wiadomością na Nowy Rok, chociaż, miejmy nadzieję, że to postawa tylko części tego środowiska, od którego społeczeństwo oczekuje więcej.

Ale powróćmy do tego, co dla tej rubryki główne: do czasopism, do tego, co z nich uważamy za warte uwagi. Czas świąteczny sprzyjał odrobieniu lektur zaległych. Dlatego wracamy do komentarzy prasowych po głośnym apelu polskich intelektualistów w sprawie kleryzacji kraju skierowanym do władz naszego państwa. Opinia Adama SZOSTKIEWICZA, znanego publicysty tygodnika „Polityka”, wydrukowana w „Gazecie Wyborczej” (GW z 27 listopada 2014 r.) zwraca najpierw uwagę deklaracją autora, że „sprawa świeckości państwa leży mi na katolickim sercu i na liberalnym sumieniu”.

Wyrażając przekonanie, że Polska współczesna nie jest państwem klerykałnym, oraz że „państwo nie powinno być klerykałne ani ulegać klerykałom. Tak samo jak nie powinno ulegać antykerykałom. Państwo bowiem jest dobrem wspólnym jednych i drugich”, autor przytacza szereg faktów z polskiej historii oraz kreśli obraz sytuacji wyznaniowej w kilku krajach Zachodniej Europy, aby zauważyć, że „Relacje państwo-religia wszędzie na świecie nie są tylko produktem prawa, lecz także historii i tożsamości narodu” po czym stwierdza:

„Obowiązująca dziś konstytucja (1997) nie nazywa naszego państwa «świeckim» (pojęcia tego nie ma także w konstytucjach przedwojennych), lecz definiuje je jako «demokratyczne państwo prawne». W artykule 25 głosi, że Kościoły (pisane później, niefortunnie, mała litera) i inne związki wyznaniowe są równouprawnione, natomiast władze publiczne zachowują «bezstronność» w sprawach religijnych i światopoglądowych, zapewniając jednocześnie swobodę wyrażania poglądów. Czytałbym jednak ten artykuł w powiązaniu z artykułami o wolnościach i prawach obywateli ... Państwo nie może tolerować dyskryminacji



niewierzących. Obrona naszego demokratycznego państwa prawnego przed radykalizmem klerykalno-katolickim, jak i sekularystycznym jest ważna, ale równie ważne jest zachowanie pewnej równowagi między różnymi opcjami ideowymi, tak by żadna nie przygniatała życia publicznego”.

Ta powściągliwa i wyważona opinia bywa, niestety, w praktyce polskiego życia dość poważnie naruszana z rażącym uszczerbkiem dla demokratycznego państwa prawa właśnie. To nie tylko codzienne, sączące się między słowami modlitw, słowa nienawiści wobec państwa emitowane z katolickiej rozgłośni z Torunia, ale to także wystąpienia najwyższych hierarchów polskiego Kościoła traktujących prawo boskie jako nadrzędne wobec prawa stanowionego przez konstytucyjne władze suwerennego i demokratycznego państwa. I co jeszcze bardziej groźne, to ujawniający się, jawny lub ukryty, sprzeciw liczącej się części polskiej hierarchii, z jej przewodniczącym abp Stanisławem Gądeckim, wobec odświeżających myśli papieża Franciszka.

Wywiad dla Radia Watykańskiego tego hierarchy na temat kwestii rozważanych na niedawnym synodzie jest tego sprzeciwu świadectwem dobitnym, którego konsekwencje tak komentuje publicysta «Więzi», Konrad SAWICKI („GW z 18–19 października 2014 r.):

„Pierwsza z nich to fakt, że abp Gądecki w tej konkretnej sytuacji (chodzi o spór pomiędzy umiarkowanym a konserwatywnym skrzydłami na Synodzie – przyp. red.) ustawił się (może nieświadomie) w jednym szeregu z największymi krytykami papieża, którzy od samego początku pontyfikatu tworzą kościelną wewnętrzną opozycję. Druga zaś związana jest z naszym krajowym podwórkiem. Opowiadając się tak wyraźnie po konserwatywnej stronie polskiego sporu o wizję katolickiej wspólnoty, jako przewodniczący Episkopatu symbolicznie porzucił tych, którzy myślą trochę inaczej... którzy poczuli nadzieję, że Kościół wyciągnie do potrzebujących wsparcia rękę ... Wypowiedź abp Gądeckiego zrujnowała te nadzieje”.

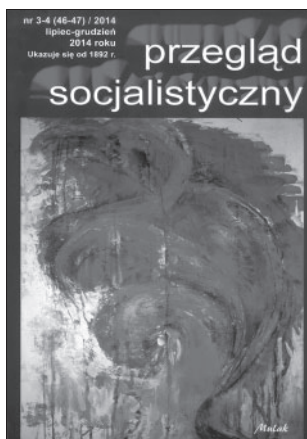
Najnowszym faktem było nie dostrzeżenie przez przewodniczącego Episkopatu niczego złego w tym, że kilku biskupów weszło w skład komitetu Marszu 13 grudnia pod flagami PiS i tylko roztropna, co stanowcza interwencja nuncjusza apostolskiego w Polsce spowodowała, że biskupi ci, z okazywaną zresztą niechęcią, zaniechali uczestnictwa w tej antypaństwowej, politycznej hucpie.

Ale fakt ten, fakt watykańskiego upomnienia, warto uznać za wydarzenie do pewnego stopnia bezprecedensowe, które może być początkiem oczekiwanego procesu uwalniania polskiego Kościoła, bo sam nie jest w stanie tego uczynić, z różnych chorób, z których już dawno wyleczyły się Kościoły w wielu krajach na świecie.

Dotyczyć to może wielu trudnych spraw polskiego Kościoła, także i tej związanej z osobą em. abp Juliusza Paetza, który – w zasięgu ręki wspomnianego przewodniczącego Episkopatu – pozwala sobie na coś, co przekracza zwykłą wyobraźnię, choć to coś, czego nie można wykluczyć, może też być po prostu mistyfikacją. Dlatego nie będziemy na tym miejscu przytaczać tekstu publikacji Marcina KAĆKIEGO pt. *Kuszenie w cieniu katedry* zamieszczonej w Dużym Formacie, dodatku do „GW” z 20 listopada 2014 r.

I u końca tego poświęconego przeglądu czasopism sięgamy *last but not least* do najnowszego numeru „Przeglądu Socjalistycznego” (numer za miesiące lipiec–grudzień 2014 r.), aby dzięki niezawodnej pamięci Andrzeja ZIEMSKIEGO, redaktora naczelnego tego zasłużonego czasopisma, móc zapoznać się z rozległą panoramą problemów podjętych przez autorów tego jubileuszowego numeru, bo w obecnej formule edytorskiej ukazującego się nieprzerwanie dziesięć lat. Serdecznie gratulujemy! Czytamy więc wywiad naczelnego z przewodniczącym OPZZ Janem Guzemu, zaglądamy z zaspokojoną ciekawością do tekstów Jolanty CZARTO-RYSKIEJ, Andrzeja ZACHARIASZA, Wojciecha POMYKAŁY, Marii SZYSZKOWSKIEJ i wpadamy, niczym na rafę, na intrygujący już samym tytułem tekst dr Sylwestra SZAFARZA, ekonomisty, dyplomaty, politycznego publicysty, zatytułowany *Intensyfikacja wyplukiwania polskości*. Czytamy ten tekst i przecieramy oczy: czy oto nie zamieniły się nam przypadkiem stronicze czasopisma programowego polskich socjalistów z tekstami propagandowymi PiS czy broszurkami polskich wielbicieli narodu, czy to w końcu sen czy to jawa, że dzieje się dziś z Polską rzecz straszna – doświadczają

najazdu czterech jeźdźców Apokalipsy – i że oto oni – siewcy germanizacji, amerykańskiej,



rusyfikacji i w końcu... judaizacji są dziś sprawcami polskiego nieszczęścia, „procesu wynaradawiania, zwanego też depolonizacją, procesu dobrze znanego w historii Polski od dawien dawna” (s. 62), procesu, który – w „płaszczyźnie społecznej” dokonuje się „Najogólniej rzecz biorąc poprzez eksterminację fizyczną oraz poprzez degradację psychiczną!” (s. 67). Itd. itp. Nie miejsce tutaj na dalsze przytaczanie tego tekstu, a tym bardziej na jego analizę, bo być może takiej analizy nie jest wart. Ale na pewno pozostaje uczucie głębokiego niesmaku, że taki co najmniej dziwny tekst mógł ukazać się w „Przeglądzie Socjalistycznym”, czasopiśmie od samego początku otwartym na inne nacje, krainy czy kultury, wrażliwym na ich wzajemne oddziaływanie, budowanie w dialogu tego wszystkiego, co wspólne i zjednoczone wokół idei sprawiedliwości społecznej, w sprzeciwie wobec wyzysku i społecznego zła. Wokół tych wartości, które w tym samym numerze „Przeglądu” zaprzeczają piórami innych autorów mistyfikacją tekstu o „wyplukiwaniu polskości”.

Wybrał i opracował
Ksawery S. PIWOCKI

Jubileusz dr. Leonarda Pełki

W pierwszych dniach listopada 2014 r. dr Leonard PEŁKA, ceniony religioznawca i filozof, odchodził Jubileusz 85-lecia. Poniżej drukujemy tekst listu gratulacyjnego Rady Krajowej TKŚ im. Tadeusza Kotarbińskiego oraz redakcji „RES HUMANA”, skierowanego z tej okazji do Jubilata.

Dostojny Jubilacie, Drogi Leonardzie,

na 85-lecie Twojego ujmującego pracowitością, co pięknego życia przesyłamy Ci, Drogi Jubilacie, nasz Drogi Przyjacielu, najszczerze gratulacje i najserdeczniejsze życzenia pomyślności i zdrowia.

Pozostajesz w ścisłych związkach z zorganizowanym humanistycznym ruchem świeckim, z naszym Towarzystwem, od jego początków w powojennych polskich dziejach; wносиł i wnosisz do jego dziedzictwa wiele wartości wzbogacających tożsamość ruchu; pozostajesz jednym z nielicznych już obecnie żywych świadectw naszego nieprzerwanego istnienia w zmiennych uwarunkowaniach czasów współczesnych.

Za ten budzący szacunek trud składamy Ci, Drogi Jubilacie, najgorętsze podziękowanie z zapewnieniem stałej o Tobie pamięci.

Życzymy Ci na nadchodzące dni i lata samego dobra.

PAMIĘCI ZMARŁYCH

Po długiej i ciężkiej chorobie zmarł w Poznaniu 17 października 2014 r.

plk. dr Arkadiusz OGRODOWCZYK

oficer Wojska Polskiego w st. spoczynku, działacz społeczny, inicjator reaktywowania Towarzystwa Kultury Świeckiej na Ziemi Wielkopolskiej i do końca swoich pracowitych dni prezes jego Rady Wojewódzkiej.

Pozostanie w naszej pamięci jako człowiek wierny polskiej lewicy oraz wartościom humanistycznym, racjonalistycznym świeckim, człowiek wielkiej szlachetności i ludzkiego ciepła.

Pozostanie na zawsze w naszej pamięci. Żegnają Go w wielkim żalu.

Rada Krajowa oraz
Wielkopolska Rada Wojewódzka
Towarzystwa Kultury Świeckiej
im. Tadeusza Kotarbińskiego

JUBILEUSZE I GRATULACJE DLA JUBILATÓW

W ostatnim czasie kilku bliskich środowisku świeckich humanistów i Redakcji RES HUMANA wybitnych Osób reprezentujących świat nauki i kultury, a wśród nich

- Eugeniusz KABATC, pisarz, autor kilkudziesięciu cenionych książek, a zarazem od wielu lat prezes Polskiego Oddziału Europejskiego Stowarzyszenia Kultury (SEC);
- Profesor Władysław MARKIEWICZ, nestor polskiej socjologii i promotor jej odrodzenia po wojnie;
- Dr Leonard PEŁKA, filozof i religioznawca oraz wieloletni działacz polskiego humanistycznego ruchu świeckiego

odchodzili budzące szacunek Jubileusze. Z tej okazji Rada Krajowa Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego oraz Redakcja „RES HUMANA” skierowały do Jubilatów specjalne listy gratulacyjne z najlepszymi życzeniami zdrowia, dalszej pracy twórczej i wszelkiego dobra.

KRAKÓW: debata o państwie świeckim

W ramach dorocznych spotkań, od ćwierćwiecza nieprzerwanie organizowanych przez Radę Krajową i Wojewódzką Towarzystwa Kultury Świeckiej we współpracy z Stowarzyszeniem „Kuźnica” w Krakowie, kolejne takie spotkanie 13 grudnia 2014 r. było poświęcone dyskusji na temat demokratycznego państwa świeckiego. Jego tematyka nawiązała do wcześniejszych debat na ten temat, a ostatnio apelu polskich intelektualistów do władz państwowych w sprawie postępującej klerykalizacji kraju.

W debacie krakowskiej problematykę świeckości państwa, w jej aspektach prawnych i historycznych, obszernie przedstawiła w wystąpieniu wprowadzającym do dyskusji prof. Danuta WANIEK z Akademii im. Frycyza Modrzewskiego w Krakowie, znana zrazem działaczka społeczna.

W dyskusji licznie zgromadzeni uczestnicy spotkania skupili się na społecznych realiach Polski współczesnej i na tym czy oraz w jakim stopniu konstytucyjne zasady ustrojowe III RP są przestrzegane przez wszystkich uczestników życia publicznego. Stwierdzono jednoznacznie, że zasad tych w jednakowym stopniu nie przestrzegają zarówno hierarchowie polskiego m Kościoła, jak i wielu przedstawicieli centralnych i lokalnych ogniw władzy publicznej. W opinii humanistów świeckich jest to sytuacja, która wymaga roztropnych rozmów i działań, choćby na forum Komisji Wspólnej przedstawicieli państwa i Kościoła, także wielu innych inicjatyw, które zmierzać powinny, w poczuciu wspólnej troski, do umacniania demokratycznego państwa prawa.

Wskazał na ten aspekt wspólnej troski o państwo i na konieczność dialogu demokratycznego państwa z Kościołem prof. Paweł KOZŁOWSKI, prezes Rady Krajowej TKŚ, w swoim wystąpieniu na zakończenie debaty.

Spotkanie, przebiegające w atmosferze nie wolnej także od opinii polemicznych, prowadzonych z wielką kulturą, prowadził prezes Rady Krakowskiej TKŚ mgr Jan NOWAK.

A.B.

Reaktywowanie działalności TKŚ na Ziemi Kieleckiej

U końca minionego roku środowisko kilkunastu osób, z inicjatywy działacza społecznego, Andrzeja PIETRZYKOWSKIEGO, postanowiło reaktywować po wielu latach działalność Towarzystwa Kultury Świeckiej na Ziemi Kieleckiej.

Na spotkaniu inauguracyjnym 4 grudnia 2014 r. zebrani omówili zadania programowe swojej pracy skupiając uwagę na potrzebie obrony świeckiego charakteru naszego państwa w sprzeciwie wobec jego postępującej klerykalizacji. Wyrazili w ten sposób swoją solidarność z głośnym listem otwartym polskich intelektualistów skierowanym do władz państwowych 17 października 2014 roku w tej sprawie.

W części organizacyjnej spotkania wyłoniona została Rada Wojewódzka. Jej prezesem został wybrany Andrzej PIETRZYKOWSKI, wiceprezesem Maciej BURZYŃSKI, sekretarzem Barbara OLSZOWY. Omówiono też szereg praktycznych kwestii prowadzących do stworzenia Radzie Wojewódzkiej warunków aktywnej działalności.

Redakcja „RES HUMANA” przyłącza się jak najserdeczniej do słów gratulacji i życzeń skierowanych przez Prezydium Rady Krajowej TKŚ do nowo powstałej Rady Wojewódzkiej Towarzystwa w Kielcach.

Eugeniusz KABATC

Polski trójkąt Konwy-Konwickiego

chaj takiego jego wyznania: „Ten nowy świat nie zaskoczył mnie swoim ogromem, przepychem cywilizacyjnym, egzotyką gwałtowności życia. Ten nowy świat cuchnął spalenizną jak miasteczka podwileńskie, straszyl biedą jak wsie białoruskie, zachwycał odludziem jak stare puszcze na północ od Niemna” (to fragment książki Tadeusza Konwickiego *Nowy Świat i okolice*).

- Taka to i Litwa - mruknął sceptyczny Przyjaciel. - Białoruś, Białoruś i tyle.
- Czarnoruś - uściślił Profesor - Ale dla niego wręcz Dobroruś... Kiedyś, gdy już przestał uczestniczyć osobiście w życiu publicznym, na moją konferencję polsko-białoruską jednak przyszedł. I długo gawędziliśmy z naszym polskim Białorusinem, Sokratem Janowiczem, o zakolach pogranicza i, oczywiście, o Mickiewiczu.

- Wszyscyśmy z niego - oświadczył Przyjaciel. A jego żalobnie zarośnięta twarz na chwilę się rozjaśniła.

Profesor spojrzął na Przyjaciela czujnie, po swojemu.

- Ale niektórzy bardziej - zapewnił.

Pojawiło się światło w lampie, zrobiło się cieplej i wino zaczęło smakować, jak w niży pana Tadzika.

**Pierwsza z trzech książek, w których
sprzeciwiamy się wizji przeszłości
nakreślonej przez IPN.**

NOWA KSIĄŻKA „Przeglądu”

Wydana w serii

„Historia bez IPN”

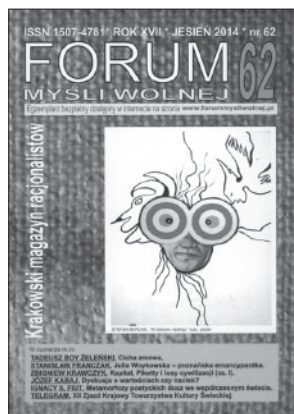
By kupić książkę, należy wpłacić 42 zł na konto wydawcy „Przeglądu” oraz podać w tytule przelewu dokładny adres (z numerem kodu), pod który przesyłka ma trafić.

Dane do przelewu: Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7;
nr konta 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



**Zachęcamy do lektury
tego bardzo interesującego kwartalnika
krakowskich świeckich humanistów,
redagowanego przez znanego prozaika
i poetę Stanisława FRANZAKA.**

Prenumeratę czasopisma przyjmuje redakcja:
30-703 KRAKÓW, ul. Dekerta 2 A/5;
tel.12/433-50-16; e-mail: skalab@o2.pl



Stanisław FRAN CZAK

Dokończenie ze s. 37

JULIAN KAWALEC – kronikarz naszych dziejów

kształtowaniu postaw obywatelskich młodzieży. Dziwne, że żadne z dużych, profesjonalnych wydawnictw jak „Czytelnik”, PiW, LSW czy „Wydawnictwo Literackie”, które zarobiły krocie na jego książkach, wznawiając je wielokrotnie – w III RP nie interesowały się jego twórczością. Zresztą także i władze, które honorowały go przed laty nabrały wody w usta. Nawet organizacje społeczne, ZLP czy SPP nie interesowały się jego dorobkiem. Z satysfakcją stwierdzam, że dopiero Stowarzyszenie Twórcze Artystyczno-Literackie, któremu mam przyjemność prezesować od lat, podjęło się poszukiwania sponsorów i wydawania w swym niszowym wydawnictwie książek Juliana Kawalca w końcowym etapie jego życia. Dzięki temu ukazały się znakomite jego książki, dziś powszechnie cytowane i poszukiwane. W połowie każdego nakładu przekazywaliśmy je do bibliotek gminnych i szkolnych Małopolski. Mamy nadzieję, że jego książki będzie czytać młodzież, pielęgnując idee, które autor propagował.

Świecki pogrzeb Juliana Kawalca 10 października 2014 roku zgromadził tłumy jego wielbicieli. Ukazały się w miejscowej tv wspomnienia i wywiad z autorem *Tańczącego jastrzębia*, były liczne nekrologi w prasie, w których poza naszym Stowarzyszeniem i Towarzystwem Kultury Świeckiej nikt nie ośmielił się wymienić najwyższego odznaczenia jakie Kawalec otrzymał w PRL, mianowicie Orderu Sztandaru Pracy I kl. (1976 r.), jakby chciano wymazać jego zasługi dla kraju. To widomy dowód, o czym on sam pisał w powieściach, że podwójna moralność obowiązuje nadal.

Autor tekstu jest znanym prozaikiem i poetą, od lat związany z Ziemią Małopolską; znanym działaczem społecznym, prezesem Stowarzyszenia Twórczego Artystyczno-Literackiego z siedzibą w Krakowie.

JULIAN KAWALEC

RECEPTA NA CIĘŻKIE CZASY

Gdy nie ma nic
To znaczy, że jest nic
A z niczego można już coś zrobić
Są kucharze cudotwórcy
Którzy mając nic, coś ugotują
I nakarmią cię
Są takie kobiety
Siostry, żony i matki
Które mając do dyspozycji nic i twój głód
Z niczego i twojego głodu
Przyrządzą nawet dość smaczną zupę
A może i drugie danie
I nakarmią cię

POŻEGNANIE Z PSEM

O jakże trudno pożegnać się z psem
Przecież nie możesz mu powiedzieć –
Wróć za godzinę, za dzień, za miesiąc
Nie jesteś w stanie wymierzyć mu żalu
Gdyż on przy pożegnaniu z tobą
Wszedł w swój żal bezgraniczny
Nawet minuta bez twojej ręki
Przygniata go żalem wiecznym
O jakże cię przerasta w smutku
Mając poczucie wieczności
W każdym
ułamku czasu

